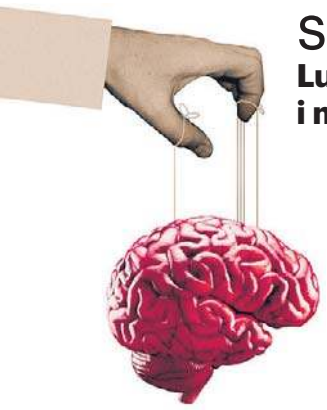

s.14–15

Ludzkość w objęciach sztucznej inteligencji. Czy AI naprawdę jest inteligentna i ma własną świadomość? Dlaczego kłamie? Jak są budowane jej algorytmy?

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 09

magazyn Puls

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Piątek–niedziela, 27.02–01.03.2026 • Nr 17 (2528) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

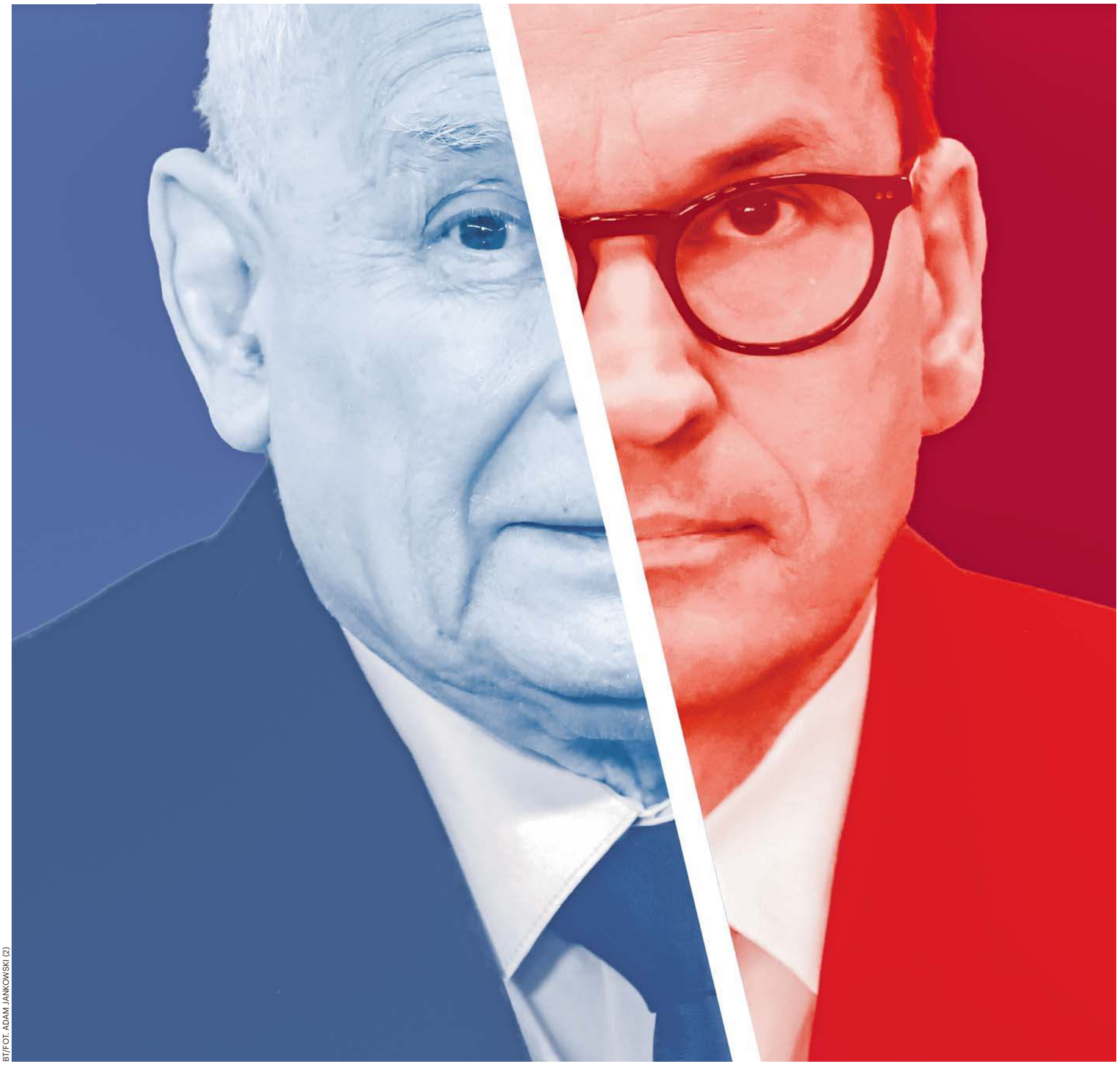

BT/FOT. ADAM JANKOWSKI (2)

s.4

Radosław Sikorski w Sejmie: Historia wrzuca nas na głęboką wodę

s.18–19

Wzór, geny, a może po prostu natura, czyli zmęczeni mroźną zimą

s.6–9

Czy Mateusz Morawiecki rozważa stworzenie nowej partii jeszcze przed następnymi wyborami parlamentarnymi?

Rozłam w PiS staje się faktem

eprasa.pl 25b49663e2

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

● Stres, skupienie i ogromna odpowiedzialność. Jak wygląda praca kontrolerów lotów? ● Skąd bierze się agresja dzieci w przdszkolach?

Janusz Michalczyk
publicysta

KOCHANKA LEPSZA NIŻ ZBOCZENIEC

Bill Gates zwołał zebranie z pracownikami swojej, obracającej setkami milionów dolarów fundacji, by zaprzeczyć bliskim relacjom z Jeffreyem Epsteinem. Aby się uwiarygodnić w oczach współpracowników i opinii publicznej, Bill przyznał się do dwóch kochanek-Rosjanek. Jedna z nich to mistrzyni brydża, druga - fizyczka jądrowa. To miara desperacji jednego z najbardziej wpływowych ludzi na świecie i zarazem dobry wyznacznik skandalu, wywołanego ujawnieniem sieci powiązań stręczyciela.

Ponieważ Epstein dokumentował swoje kontakty, dziś ta korespondencja obnaża beztroskę i cynizm najbardziej znanych postaci ze świata polityki czy biznesu, i to wszelkiej maści. Wystarczy wspomnieć guru lewicy - Noama Chomsky'ego, który bez żenady korzystał z prywatnego samolotu Epsteina. Z kolei strateg amerykańskiej prawicy - Steve Bannon - próbował wykorzystać jego wpływy do skompromitowania papieża Franciszka, uchodzącego w pewnych kręgach za lewaka.

Ludzie nauki też bezkrytycznie poddawali się urokowi Jeffreya. Pieniądze od niego przyjmował m.in. Harvard, najbardziej prestiżowa uczelnia. Dzięki tym dotacjom wybitny naukowiec Martin Nowak rozwijał Program Dynamiki Ewolucyjnej (badania nad rakiem i wirusami). Epstein finansował również m.in. badania nad sztuczną inteligencją, więc swobodnie obracał się w kręgu takich postaci, jak Elon Musk.

Połączenie inteligencji, pieniędzy i charyzmy stworzyło potwora, który owijał sobie wokół palca najbardziej błyskotliwych ludzi, bo potrafił rozpoznać i wykorzystać ich słabostki. Oczywiście, nie wszystkich. Przykładem osoby, która oparła się wdziękowi Jeffreya, może być Sam Harris, filozof i neuronaukowiec. Opowiada, że uczestniczył w spotkaniu towarzyskim, jakie zorganizował Epstein, lecz uznał go za dupka, bo ten prowadził konwersację, posadziwszy sobie na kolanach bardzo młodą kobietę.

Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowych, nie analizuję mrocznych zakamarków psychiki, ale szczerze raduje mnie ujawnienie kontaktów Epsteina z elitami. Uważam, że to świetna szczepionka na medialne manipulacje i stereotypowe myślenie. Ktoś jest bystry, majętny, zabawny, stoi na szczycie drabiny społecznej? To jeszcze nie znaczy, że jest porządnym człowiekiem.

Z CZEGO JUTRO ...? O PRZYŚPIESZENIU Z ARCHITEKTURĄ KOGNITYWNĄ BIUROKRACJI ZAMIAST SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Andrzej Sadowski
Centrum Adama Smitha

Zanim rządzący w systemie permanentnego niedoboru wszystkiego zaordynują społeczeństwu i państwu stan wojenny pod koniec 1981 r., to na początku tego roku ukazuje się tekst „Jak niszczyłem rolnictwo?", w którym ujawniono systemową destrukcję prywatnego rolnictwa niewynikającą tylko z niekompetencji i arogancji władzy, ale z celowego chaosu prawnego. Tworzono go poprzez wydawanie na szczytach władzy wykluczających się wzajemnie instrukcji i wytycznych. Z jednej strony wydawano rozporządzenie A, a z drugiej instrukcję B, która je unieważniała, co prowadziło do paraliżu decyzyjnego na wsi oraz w pegeerach. Wydając nakaz zwiększenia hodowli, jednocześnie ograniczano przydział pasz. Skutki sprzeczności były nieodczuwalne na olimpach ówczesnej władzy. Chaos pojawiał się dopiero na najniższych jej szczeblach. Lokalni urzędnicy i rolnicy byli zarzucani tonami tzw. papierowej roboty. Utrzymywanie chaosu na wystarczająco dotkliwie destrukcyjnym poziomie odbywało się poprzez mechanizm tzw. spuszczania dyrektyw, czyli tworzenia przepisów tak niejasnych, że ich interpretacja zależała wyłącznie od dobrej woli urzędnika szczebla lokalnego, który stawał się „Panem Wszystkiego". Okoliczności i sposoby zaciskania biurokratycznej pętli pozostawiono czynownikom ówczesnego systemu. Rolników zmuszono do korupcji jako ceny za przychylności władzy. Praktykowana powszechnie przez urzędników wszystkich szczebli korupcja stała się niezamierzoną formą patologicznej demokratyzacji systemu. Powszechność korupcji uruchomiła nieformalną zmianę, gdyż jej praktykowanie naruszało tożsamość systemu. Jego dekonstrukcję nie powstrzymały Inspekcje Robotniczo-Chłopskie, same biorąc udział w wymuszeniach w sytuacji dramatycznie pogłębiających się niedoborów towarów. Zanim korupcja osłabiła system, był on projektowany tak, żeby rolnik indywidualny czuł się niepewnie i był całkowicie zależny od państwa. Biurokracja PRL dążyła do ubezwłasnowolnienia rolników, którzy byli największą grupą prywatnych przedsiębiorców w ideologicznie wrogim im systemie. Mechanizm biurokracji PRL prowadził sabotaż ich działalności przez tworzenie absurdu z mocą urzędową. Racją tego procederu było utrzymanie chaosu, który usprawiedliwiał rozbudowę aparatu zarządzania i kontroli. W ten sposób doprowadzono do postępującej zapaści gospodarki żywnościowej i nie tylko.

Ponad ćwierć wieku później prominentny przedstawiciel schyłkowego aparatu władzy Wojciech Wiśniewski w memuarze „Dlaczego upadł socjalizm?" dopełnia wiedzę o mechanizmach systemu, który upadł, bo był w swej istocie fałszywy. W jakim dziś fragmencie system instytucjonalny Trzeciej Rzeczypospolitej, który umożliwia chaos w części swojego aparatu wymierzającego sprawiedliwość, kontynuuje i odtwarza kognitywną architekturę opresyjnej peerelowskiej biurokracji?

Architektura kognitywna biurokracji pozwala na poznanie jej „myśli" i sposobu jej „myślenia", jak podejmuje decyzje oraz przetwarza informacje niezależnie od intencji poszczególnych urzędników. Biurokracja to nie tyle struktura organizacyjna, co system zbiorowych schematów poznawczych, reguł, ale i mechanizmów obronnych. Głównym elementem jej architektury kognitywnej jest co do zasady prymat procedury nad celem. Procedura staje się celem samym w sobie i go „uświęca". Sukces biurokracja osiąga wówczas, kiedy postępuje zgodnie z regułą, a nie dlatego, że działa dla osiągnięcia efektu społecznego czy gospodarczego. W biurokracji „zrobiliśmy dobrze" oznacza wyłącznie, że „zrobiliśmy zgodnie z przepisami" i tym samym bronimy swoich decyzji siłą „racjonalności formalnej", która przełamuje każdą jak dotąd polityczną próbę redukcji w niej zatrudnienia i reformy tejże biurokracji.

Rzeczywistość przez biurokrację zredukowana jest do kategorii formularzy, checkboxów i definicji, co profetycznie przedstawił Terry Gilliam w filmie „Brazil" w roku 1985. Ignorowane jest przez nią to, czego nie da się sklasyfikować. Biurokracja wytworzyła mechanizm samowzmacniających się pętli, w którym każdy podniesiony publicznie problem prowadzi do przymuszenia parających się polityką do wprowadzenie nowego przepisu, nowego formularza i nowej komórki kontrolnej. Rośnie kognitywnie w sztuce utrzymania swojego stanu posiadania, nawet gdy realny problem zanika.

W systemie, który formalnie ma służyć obywatelom, w rzeczywistości mają oni w nim status chłopów pańszczyźnianych poddanych biurokratycznemu poddaństwu i opresji. Nieustająca trudność w uzyskiwaniu w przewidywalnym czasie decyzji przez obywateli i dochodzenie swoich praw jest konsekwencją fragmentacji odpowiedzialności w biurokratycznym aparacie, w którym decyzje są rozbite na etapy i departamenty tak, że nikt nie odpowiada za całość skutków. Systemowo jest to racjonalne, ale społecznie i gospodarczo destrukcyjne.

Zaordynowany stan wojenny nie tylko sparaliżował ruch społeczny wywołany przez powstanie „Solidarności", ale też ogłuszył aparat partii rządzącej. Jednak dość szybko odzyskał on swoją destrukcyjną sprawczość na tyle, że uniemożliwił przeprowadzenie tzw. drugiego etapu reformy w socjalizmie i tym samym doprowadzając go do upadku. Jeżeli nie będzie zmian w zasadach funkcjonowania biurokracji, to jakie mechanizmy mają sprawić przyśpieszenie w gospodarce Polsce? Czy polskiej gospodarce, aby przyśpieszyła nie pozostanie jedyny samoistny sposób znany z powieści „Przygody barona Munchausena" Rudolfa Ericha Raspego i Gottfrieda Augusta Bürgera sfilmowanej w roku 1989 przez Terryego Gilliama, który polegał na wyciągnięciu się z bagna własną ręką za własne włosy przez jej bohatera?

Biurokracja po latach udawania, że staje się organizacją samouczącą się powraca do ustawień fabrycznych z czasów PRL. O ile w architekturach kognitywnych AI dąży się do stworzenia zintegrowanego systemu, który naśladuje ludzkie zdolności, takie jak percepcja, pamięć, uczenie się, rozumowanie co prowadzi do ograniczania jej poziomu błędów, to w biurokracji jej typowe „błędy poznawcze" są jej raison d'être. Utrzymywany jest status quo bias polegający na preferowaniu obecnej sytuacji i oporze przed zmianami i tym samym uniknięcia wysiłku związanego z decyzją oraz trzymaniem się dotychczasowych nawyków i „ustawień domyślnych".

Deregulacja drugorzędnych przepisów nie zmieni tego stanu rzeczy, tylko ustawa Wilczka, która odebrała władzę biurokracji i dała wolność gospodarczą obywatelom.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

eprasa.pl 25b49663e2

REKLAMA

0211451158

eprasa.pl 25b49663e2

Sikorski: Historia wrzuca nas na głęboką wodę

Radosław Sikorski podczas czwartkowego exposé mówił o wielkich wyzwaniach, jakie stoją przed Polską i Europą, związane m.in. z wojną w Ukrainie czy obecną polityką USA

Dorota Kowalska

FOT. ADAM JANKOWSKI

Sikorski w Sejmie: Sytuacja jest poważna; nie wolno nam sobie pozwolić na paraliż

Radosław Sikorski wczoraj przedstawił w Sejmie exposé dotyczące priorytetów polskiej polityki zagranicznej w 2026 roku. Przemówieniu ministra sprawa zagranicznych przysłuchiwał się prezydent Karol Nawrocki, ale na sali plenarnej zabrakło czołowych polityków Prawa i Sprawiedliwości, w tym prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Minister Sikorski mówił o Unii Europejskiej, o wojnie w Ukrainie, o Stanach Zjednoczonych i największych wyzwaniach, jakie w najbliższych latach stoją przed naszym krajem.

- Słyszę straszenie, że Unia Europejska to projekt, który buduje potęgę Niemiec i prowadzi do rzekomej dominacji Berlina nad Brukselą i Warszawą. Odwołam się do faktów. Prekursorka UE, czyli Europejska Wspólnota Węgla i Stali powstała po to, aby na niemiecką potęgę nałożyć ramy wspólnego zarządzania przemysłem ciężkim - przypomniał Radosław Sikorski. I dodał, że „członkostwo Polski w UE nie jest ani dziełem przypadku, ani efektem przymusu. To suwerenny strategiczny wybór, jakiego Polska dokonała w latach 90. oceniając różne możliwe scenariusze rozwoju po upadku komunizmu”. - Bezpieczeństwo Polski wzmacniają dwie organizacje, których jesteśmy wzorowymi członkami, czyli UE i NATO. Każda z nich ma inną rolę, ale nie konkurują ze sobą, tylko wzajemnie dopełniają. Wiemy, jak trudne jest osiągnięcie jednomyślności - stwierdził wicepremier Sikorski.

Minister Sikorski zauważył, że pogorszyły się relacje między USA i Europą, a to dla naszego kraju szczególne wyzwanie, ale też - co podkreślał Sikorski - „sojusz i bliskie związki z USA od dekad były filarem naszej polityki zagranicznej, niezależnie od tego, kto rządził w Polsce i kto zasiadał w Białym Domu”.

- To nie Europa wysuwa roszczenia terytorialne, nakłada cła, czy ingeruje w rywalizację partyjną po drugiej stronie Atlantyku. W tej sprawie społeczeństwo jest zdezorientowane - zauważył minister Radosław Sikorski. - Nastąpił zwrot w kierunku polityki siły. Widzimy próby powrotu do koncertu mocarstw, czyli sytuacji, w której największe państwa dzielą świat na strefy wpływów, gdzie rzekomo powinny im przysługiwać szczególne, także terytorialne prawa. Chętni do reaktywacji tego systemu są niestety w różnych częściach globu - tłumaczył dalej. I dodał, że marzą o tym niektórzy nacjonaliści, ale w świecie, w którym o wszystkim decyduje siła i pieniądze, nie ma miejsca na prawdziwe sojusze.

Sikorski podkreślił, że dla USA Europa schodzi na dalszy plan.

- Byliśmy i będziemy lojalnym sojusznikiem Ameryki, ale nie możemy być frajerami - powiedział szef polskiej dyplomacji - Ameryka się zmienia, a my możemy albo dostrzec fakty i odpowiednio się przygotować, albo zasłonić oczy i uszy - dodał.

Minister Sikorski przypomniał też, że za naszą wschodnią granicą od 2014 roku trwa wojna.

- Ocenia się, że na skutek decyzji Kremla zginęło lub zostało rannych ok. 1 mln 200 tys. rosyjskich żołnierzy. Niektóre szacunku mówią, że na jednego zabitego żołnierza Ukrainy ginie aż siedmiu rosyjskich - mówi szef MS. I dodał, Ukraińcy, którzy uciekli przed wojną do Polski są bardzo aktywni zawodowo: od 2022 roku założyli w naszym kraju ponad 120 tys. firm, zatrudniają ludzi, płacą podatki.

- Bezwzględnie najpoważniejszym wyzwaniem dla Polski w najbliższych latach pozostanie wojna Rosji przeciwko Ukrainie. Dlatego do końca dekady musimy zbudować armię, która trwale odstraszy Putina oraz tworzyć równoległe systemy sojuszy - podkreślił Sikorski.

Polskie wydatki na obronę mają osiągnąć poziom 4,8 procent PKB, to znaczy 200 mld zł - około 55 mld dolarów. Pieniądze na nowy sprzęt wojskowy stanową więcej niż połowę tej kwoty.

Sikorski podkreślił, że za wojnę w Ukrainie całkowitą odpowiedzialność ponosi agresor - Rosja. - Ataki na ludność cywilną, na budynki mieszkalne, szkoły, pociągi czy szpitale, to pogwałcenie podstawowych zasad prawa międzynarodowego - zaznaczył Sikorski.

Na koniec podkreślił, że „wewnątrz kraju możemy się spierać, ale w kwestiach fundamentalnych granicą sporu powinna być granica państwa”.

- Sukces na arenie międzynarodowej jesteśmy w stanie osiągnąć tylko wspólnym wysiłkiem „my, Naród Polski - wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”. Przed nami jeden cel: Polska silna, zamożna i solidarna. Polska, która pnie się w górę. A więc mniej sekciarstwa, więcej współpracy. Taką Polskę możemy zbudować tylko razem - podkreślił szef MSZ, kończąc swoje wystąpienie.

„Prezydent, marszałkowie, rząd słuchają wystąpienia szefa polskiej dyplomacji. Kaczyńskiego i większości posłów PiS nie ma na sali. Szkoda, bo to do nich Sikorski skierował te słowa: „Byliśmy, jesteśmy i będziemy lojalnymi sojusznikami Ameryki. Ale nie będziemy frajerami”” - skomentował na X expose Radosława Sikorskiego premier Donald Tusk.

Potem w rozmowie z dziennikarzami ocenił jego przemówienie jako „bardzo mocne, dobre i mądre”, szczególnie w kontekście Ukrainy, Europy oraz relacji z sojusznikami.

- To jest dokładnie to, o co dziś chodzi w Polsce, Europie i na świecie: żeby trzeźwo, mądrze i rozsądnie oceniać, co jest ważne i bezpieczne dla Polski, Europy i całego zachodniego świata - mówił Donald Tusk.

Właśnie dlatego, jak argumentował szef rządu, tak kluczowym elementem debaty publicznej staje się kwestia mądrego i masywnego finansowania polskich zdolności obronnych.

- Było to dla mnie ciekawe i ważne wystąpienie. To dobra informacja dla Polski, że w kwestiach strategicznych polityka prezydenta i MSZ jest po jednej stronie. Odnosi się to do zagrożenia ze strony Rosji. To największe egzystencjalne zagrożenie dla Polski. To wybrzmiało ze słów ministra Radosława Sikorskiego. Bardzo się cieszę, że pan minister skorzystał ze słów, które powtarzam regularnie na arenie międzynarodowej, że Rosja jest do pokonania - powiedział z kolei prezydent Karol Nawrocki w Sejmie podczas konferencji prasowej. - W kwestiach zasadniczych trzeba też dostrzegać mniejszej wagi wspólne sprawy. Jak powiedział minister Sikorski, wspieramy wysiłek Mołdawii w sprawie wejścia do UE. To jest przykład jak polityka prezydenta i rządu może iść w tym samym kierunku. Cieszę się z tej dojrzałości ministra Sikorskiego, cieszę się, że wybrzmiało z jego słów, choć z dużą dozą sceptycyzmu względem USA odbywało się to wystąpienie, że Waszyngton, Stany Zjednoczone, NATO są strategicznymi partnerami Polski - mówił prezydent.

Nawrocki wskazał też, co w expose Sikorskiego mu się nie podobało. Zabrakło mu większej asertywności w stosunku do Komisji Europejskiej i szerszego odniesienia do formatów regionalnych, w których Polska jest liderem, chodzi m.in. o Inicjatywę Trójmorza.

- Nie ma wątpliwości, że Polska jest i pozostanie w najbliższym czasie w UE. Pan minister zaprojektował sobie na 15 minut pewien problem polexitu i później ten wymyślony problem rozkładał na czynniki pierwsze. Takiego problemu nie ma, natomiast asertywność Polski w relacjach z KE, wyraźne reakcje na politykę klimatyczną, migracyjną z pewnością będą obecne w Pałacu Prezydenckim. Liczę tu też na asertywność polskiego rządu - mówił Nawrocki.

Expose Radosława Sikorskiego było też mocno komentowane w sieci. I u zaskoczenia ma: politycy opozycji je krytykowali, politycy koalicji rządzącej - chwalili.

REKLAMA 0011484076

ŻARÓW

BURMISTRZ MIASTA ŻARÓW

ogłasza

I przetarg ustny nieograniczony na najem lokalu niemieszkalnego (pomieszczenia na prowadzenie siłowni sportowej), położonego w Żarowie przy al. Janusza Korczaka 1, dz. nr 941/27, KW nr SW1S/00051389/8, na parterze budynku noclegowo-rekreacyjnego, o łącznej powierzchni użytkowej **369,10 m²**.

W skład lokalu wchodzą: pomieszczenie siłowni o pow. 197 m², sala fitness o pow. 88,70 m², 2 szatnie o pow. 13 m² i 13,20 m², 2 x w.c. z przedsionkiem o pow. łącznej 18,5 m², 2 x natryski o pow. łącznej 17,8 m², pomieszczenie magazynowe o pow. 5,10 m², korytarz o pow. 12,2 m², recepcja o pow. 3,6 m².

Lokal znajduje się w budowanym budynku noclegowo-rekreacyjnym, który zostanie oddany do użytku w terminie do 30.05.2026 r.

Umowa najmu zawarta zostanie na okres 10 lat, licząc od dnia 1.07.2026 r. z możliwością podpisania umowy najmu we wcześniejszym terminie w przypadku wcześniejszego odbioru i oddania do użytkowania budynku.

Przetarg odbędzie się **w dniu 31.03.2026 r. o godz. 10.00 w Urzędzie Miejskim w Żarowie**, ul. Zamkowa 2, II piętro, pokój nr 19.

Przetarg polegać będzie na licytacji stawki czynszowej za 1 m² powierzchni użytkowej lokalu, płatnej w stosunku miesięcznym, do 10. dnia każdego miesiąca.

Stawka wyjściowa do przetargu wynosi 27 zł za 1 m² netto (do wylicytowanej stawki czynszu zostanie doliczony podatek VAT 23%)

Wysokość postąpienia – nie mniej niż 0,27 zł

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest:

Wpłata wadium w wysokości **1000 zł** na konto: Santander Bank 97 1090 2369 0000 0001 4749 3760 **najpóźniej do dnia 27 marca 2026 r. włącznie**. Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Urzędu Miejskiego w Żarowie.

Wadium wpłacone przez uczestnika, który wygra przetarg, zaliczone zostanie na poczet pierwszego czynszu najmu, pozostałym uczestnikom wadium zwrócone zostanie w terminie do 3 dni od dnia zakończenia przetargu.

Przetarg jest ważny bez względu na liczbę uczestników, jeżeli chociaż jeden uczestnik zaoferuje cenę o co najmniej jedno postąpienie powyżej stawki wyjściowej.

Ogłoszenie o przetargu wraz ze wzorem umowy oraz szkicem lokalu umieszczone jest na stronie internetowej Urzędu: www.um.zarow.pl.

Uczestnik zobowiązany jest do przedłożenia komisji przetargowej dowodu wpłaty wadium oraz dokumentu tożsamości **przed otwarciem przetargu**.

W przypadku, gdy uczestnikiem przetargu jest osoba prawna, osoba upoważniona do reprezentowania uczestnika powinna przedłożyć do wglądu aktualny wypis z Krajowego Rejestru Sądowego.

Jeżeli uczestnik jest reprezentowany przez pełnomocnika, konieczne jest przedłożenie oryginału pełnomocnictwa upoważniającego do działania na każdym etapie postępowania przetargowego (dotyczy także małżeństw, gdy tylko jedno z małżonków jest obecne na przetargu).

Wpłata wadium przez uczestnika przetargu jest równoznaczna z potwierdzeniem przez niego faktu zapoznania się z warunkami przetargu i ich akceptacją oraz treścią klauzuli informacyjnej (RODO).

Informacje o nieruchomości można uzyskać w Referacie Nieruchomości, Gospodarki Przestrzennej i Lokalowej UM w Żarowie, ul. Zamkowa 2, pokój nr 21, II piętro, tel. 74 306 73 01, e-mail: w.chodorowski@um.zarow.pl.

Burmistrz Miasta Żarów zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu z ważnych powodów.

eprasa.pl 25b49663e2

REKLAMA

0011469424

PGNiG GRUPA ORLEN

ORLEN

eprasa.pl 25b49663e2

Mateusz Morawiecki bada teren. Czy czeka nas rozłam w PiS?

Mateusz Morawiecki ewidentnie źle czuje się w szeregach Prawa i Sprawiedliwości. Według medialnych doniesień, on i jego zwolennicy od miesięcy badają teren i szykują się na odejście z partii Jarosława Kaczyńskiego. Sojuszników wśród samorządowców próbują znaleźć także rozłamowcy z Polski 2050. Siłą rzeczy rodzi się pytanie: czy przed wyborami parlamentarnymi będziemy mieli nowego gracza na scenie politycznej?

Dorota Kowalska

Kryzys w Prawie i Sprawiedliwości tlił się od kilku miesięcy. Dzisiaj wydaje się, że prezes Kaczyński już go nie zażegna. W ostatni weekend Mateusz Morawiecki zorganizował spotkanie z wyborcami w Słupsku. W tym samym czasie jego partyjni koledzy zgromadzili się na konwencji programowej w Stalowej Woli, którą były premier najzwyczajniej w świecie zignorował. Coraz częściej pojawiają się więc głosy, że Morawiecki opuści partię Jarosława Kaczyńskiego.

I tak z ustaleń dziennikarza portalu Zero.pl Jacka Prusinowskiego wynika, że były premier i jego stronnictwo wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości ma być już za kilka miesięcy gotowe, by pójść swoją drogą i budować własną polityczną siłę, zdolną do samodzielnego startu w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych.

Morawiecki i jego współpracownicy mają być ponoć niezadowoleni z faktu, że jego frakcja jest marginalizowana we władzach PiS na rzecz stronnictwa tzw. maślarzy, czyli polityków bardziej konserwatywnych, także tych z byłej Solidarnej Polski.

– Jeździmy po kraju i badamy nastroje, budujemy media społecznościowe, bo to za ich pośrednictwem moglibyśmy zebrać podpisy pozwalające na samodzielny start w wyborach – mówił Prusińskiemu polityk związany z frakcją „harcerzy", czyli ludzi byłego premiera.

Ten sam rozmówca, pytany o pieniądze na nową partię, zarzekał się, że się o to nie obawia, bo, jego zdaniem, wsparcie dla nowego projektu popłynie szerokim strumieniem od zwolenników Mateusza Morawieckiego.

Te doniesienia nie uszły uwadze obserwatorom sceny politycznej.

I tak publicysta Jakub Majmurek w serwisie X ocenił, że „jeśli maślarze wypchną Morawieckiego i jego ludzi do »obozu demokratycznego«, np. jako koalicjantów PSL i partnerów przyszłego rządu anty-prawicowo-populistycznego, to byłaby to wspaniała ironia".

Dziennikarz Łukasz Warzecha pisze z kolei, że scenariusz, w którym Mateusz Morawiecki opuszcza PiS, staje się coraz bardziej realny. „Kiedy kilka tygodni temu napisałem o takim scenariuszu duży tekst w »Do Rzeczy«, sam uznawałem to za bardzo mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Zdaje się, że staje się to coraz bardziej realne. I bardzo dobrze. Niech opuszcza" – napisał na X Warzecha.

Także prof. Danuta Plecka z Uniwersytetu Gdańskiego stwierdziła w „Poranku TOK FM", że „działania, które Morawiecki podejmuje od kilku miesięcy, to ewidentnie liczenie szabli, ilu polityków Prawa i Sprawiedliwości podziela chęć opuszczenia ugrupowania". Jak podkreśliła politolożka, dzieje się to „nie dlatego, że partia traci w sondażach, tylko dlatego, że politycy PiS mają w tej chwili wyłącznie jeden cel przed sobą, czyli zdobycie władzy w 2027 roku".

– Morawiecki stanął na czele tych 30-, 40- i 50-latków w Prawie i Sprawiedliwości, którzy reprezentują nurt nowoczesnego konserwatyzmu i mają nadzieję, że jest dla nich miejsce na scenie politycznej – tłumaczyła Plecka. – Jeżeli takie ugrupowanie by powstało, to istnieje minimalna szansa na zawiązanie sojuszy z Polskim Stronnictwem Ludowym po wyborach – dodała.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki rzadko pojawiają się razem – w ostatnim czasie prawie wcale. Scenariusz, że były premier opuszcza szeregi PiS, staje się coraz bardziej realny

Rzeczywiście, coś może być na rzeczy. Morawiecki nie ma zbyt wysokich notowań u prezesa Kaczyńskiego, w każdym razie wiadomo już, że nie zostanie premierem, jeśli PiS za dwa lata dojdzie do władzy.

Jarosław Kaczyński oświadczył, że dokonał już wyboru przyszłego kandydata partii na to stanowisko. Ma to być polityk, który „przekona wyborców o prawicowej i niepodległościowej wrażliwości".

– To musi być człowiek dobrze przygotowany. Mam wrażenie, że nie wszyscy w partii rozumieją to, że dziś pewnego rodzaju zasługi, zdolności nie mogą być tym, co jest jedyną przesłanką do wyboru – mówił prezes w Radiu Maryja.

I dodał, że wybrał już kandydata na stanowisko szefa rządu.

– Nie ukrywam, że w głowie już go dokonałem. Chcę go oczywiście przedstawić na jakimś dużym partyjnym zgromadzeniu – tłumaczył. – Nie powiem, o kogo chodzi, ale ten wybór został już dokonany. Jest ktoś, kto wydaje się odpowiadać tym wymogom – podkreślił.

W mediach natychmiast pojawiły się informacje, że pierwsze miejsce na liście prezesa zajmuje szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, ale Karol Nawrocki nie chce oddać Kaczyńskiemu swojego współpracownika, więc pod uwagę ma być brany Przemysław Czarnek, posłanka Anna Krupka oraz europoseł Tobiasz Bocheński. Wśród potencjalnych kandydatów na przyszłego premiera nie ma jednak Mateusza Morawieckiego.

Oczywiście, sami zainteresowani zaprzeczają, jakoby szykowali nowy polityczny projekt.

Michał Dworczyk, jeden z najbliższych współpracowników Morawickiego, w „Bez Uników" zapewnił, że Mateusz Morawiecki nie zamierza opuszczać PiS.

– Nigdzie się nie wybiera. To jest właśnie jeden z przykładów faktów medialnych, które gdzieś się pojawiają w przestrzeni, potem są na wszystkie sposoby odmieniane, analizowane przez ekspertów i dziennikarzy mimo tego, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością – przekonywał Dworczyk.

Przyznał jednak, że Mateusz Morawiecki byłby najlepszym kandydatem PiS na premiera.

– Na pewno będziemy chcieli przedstawić dobrze przygotowanego, poważnego kandydata. Kto nim będzie, oczywiście ja nie wiem, bo to jest decyzja władz partii, pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. W moim przekonaniu najlepiej przygotowanym do tej roli jest dzisiaj Mateusz Morawiecki. I to chodzi nie tylko o Prawo i Sprawiedliwość, a w ogóle polityków, którzy na naszej scenie politycznej są aktywni – stwierdził.

I wyliczał zalety byłego premiera: Morawiecki siedem lat kierował Radą Ministrów, jest doświadczonym politykiem, który zna się także na ekonomii i gospodarce, rozumie współczesny świat. Dworczyk przyznał też, że „Morawiecki powiedział, iż jest gotów, aby podjąć tego typu wyzwanie".

Zapytany o to, czy dobrym kandydatem na premiera byłby także Zbigniew Bogucki, odpowiedział, że bardzo go ceni.

– Jest moim kolegą partyjnym i ma bardzo dobre kompetencje. Natomiast, jeżeli mówimy o znajomości funkcjonowania gospodarki, finansów publicznych czy samego funkcjonowania Rady Ministrów, z racji tego, że premier Mateusz Morawiecki pełnił swój urząd przez blisko siedem lat, no to nie ma osoby, która miałaby większe doświadczenie w tym zakresie – podkreślił.

Jeśli Morawiecki szykuje się do odejścia, „maślarze" mogą zacierać ręce. Ich wojna z ludźmi skupionymi wokół Morawieckiego przybierała na sile już od grudnia.

Wszystko wzięło się stąd, że choć PiS wygrał wybory prezydenckie, w każdym razie wygrał je Karol Nawrocki popierany przez PiS, partia traci w sondażach. Politycy PiS dostrzegli więc potrzebę obrania nowego politycznego kursu, tyle że jego poszukiwania zapoczątkowały nowe spory, które są pokłosiem starych. Jeden z nich toczy się między byłym premierem Mateuszem Morawieckim i jego ludźmi, nazywanymi też „harcerzami", a grupą tzw. maślarzy. Na czele tych drugich stoją Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński.

Określenie wzięło się stąd, że Bocheński uderzał w ekipę rządową za to, że w samolocie LOT-u z Frankfurtu do Polski podano mu masło „Deutsche Markenbutter", a nie polskiego producenta. LOT tłumaczył potem, że linie lotnicze najczęściej zaopatrują się w porcie lotniczym startu.

To ludzie z frakcji Morawieckiego mieli tak nazwać swoich kolegów z partii. Sami od lat nazywani są „harcerzami", bo wielu swego czasu działało w harcerstwie.

W każdym razie „maślarze" połączyli siły przy okazji rozmów o nowym programie, który PiS zamierza stworzyć na wybory parlamentarne w 2027 roku. W grupie, która miała nad nim pracować, nie znalazł się Mateusz Morawiecki, znaleźli się za to: Mariusz Błaszczak, Jacek Sasin, Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński i Patryk Jaki.

W Prawie i Sprawiedliwości doszło do prawdziwej burzy,

eprasa.pl 25b49663e2

interweniował Jarosław Kaczyński, tyle że ponoć sam miał zatwierdzić brak obecności Morawieckiego w tym gronie. Walki z czasem nabrały też bardziej publicznego charakteru. Jarosław Kaczyński widział, co się dzieje, stąd pomysł, aby spotkać się na Nowogrodzkiej i przedyskutować, jak uspokoić nastroje.

Tyle tylko, że Mateusz Morawiecki nie pojawił się na posiedzeniu kierownictwa PiS. Był za to razem z byłą premierką Beatą Szydło i europosłem PiS, byłym prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem w Brzozowie w woj. podkarpackim. Spotykał się tam z wyborcami. Chwilę później Onet ustalił, że w PiS miało dojść do niespodziewanego sojuszu. Po wielu latach politycznego sporu Mateusz Morawiecki i Beata Szydło mieli się dogadać. Szydło jest w partii na marginesie. Układ z byłym premierem daje jej szansę na powrót do gry. Więc Morawiecki ma w Prawie i Sprawiedliwości nie tylko swoich ludzi, ale i zwolenników.

Co ciekawe, gdyby Prawo i Sprawiedliwość odzyskało władzę, kandydatem na premiera z największym poparciem społecznym byłby właśnie Morawiecki, odrzucony przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego – wynika z sondażu United Surveys by IBRiS, przeprowadzonego na zlecenie Wirtualnej Polski. Wskazało na niego aż 31 proc. badanych. To wynik niemal trzykrotnie wyższy niż w przypadku kolejnego polityka wymienionego z nazwiska. Na drugim miejscu znalazł się Patryk Jaki. Zdobył poparcie na poziomie 13 proc. Podium zamyka były prezydent Andrzej Duda, którego w roli premiera widziałoby 9 proc. Z kolei uczestnicy sondażu SW Research dla rp.pl odpowiedzieli na pytanie, czy rozpad PiS jest, ich zdaniem, realny. 40 procent badanych twierdzi, że tak.

Co niektórzy uważają jednak, że Morawieckiemu nie opłaca się opuszczanie Prawa i Sprawiedliwości, wystarczy czekać na potknięcia „maślarzy", budowanie nowej siły politycznej do łatwych przecież nie należy, a do wyborów zostało półtora roku.

Prawdą jest jednak, że rozpad Polski 2050 mocno przetasował polską scenę polityczną.

Przypomnijmy, Paulina Hennig-Kloska wraz z grupą 17 posłów ogłosiła, że odchodzi z partii i zakłada własny klub „Centrum", wspierają ją m.in. posłowie: Ryszard Petru, Aleksandra Leo czy Ewa Szymanowska.

– Centrum to miejsce, gdzie spotykają się ludzie, w którym wypracowują dobre kompromisy i odnoszą sukcesy, bo chcemy, by Polska była w centrum naszej pracy, w centrum naszej uwagi, ale też dlatego, że centrum to jest miejsce, w którym zdobywa się równowagę i stawia przeciwwagę do skrajności, których w Polsce mamy w ostatnich latach zdecydowanie za wiele – mówiła Hennig-Kloska na konferencji prasowej.

Wcześniej z Polski 2050 odeszli posłanka Żaneta Cwalina-Śliwowska, europoseł Michał Kobosko, Paweł Zalewski, wiceminister Anna Radwan-Röhrenschef i Joanna Mucha.

– Myślę, że tego projektu, niezależnie od tego, kto ostatecznie zostanie liderem czy liderką, nie da się już uratować w rozumieniu takim, że ta formacja nie wejdzie samodzielnie do następnego Sejmu. Oczywiście trzydziestu posłów może jeszcze jakiś czas tworzyć klub Polski 2050, zanim się rozejdą do innych formacji, głównie do Koalicji Obywatelskiej. Natomiast moim zdaniem to jest już masa upadłościowa, która wszakże może być poddana procesowi sanacji w ramach innego projektu politycznego – mówił mi ostatnio prof. Antoni Dudek.

Bo też do „zagospodarowania" jest całkiem sporo posłów i wydaje się, że pewne pomysły już się pojawiają. W ubiegłym roku powstała nowa centrowa partia, reprezentująca samorządowców i biznes. To Nowa Polska, której założycielami są m.in. trzej senatorowie, a w przeszłości prezydenci miast: Zygmunt Frankiewicz z Gliwic, Wadim Tyszkiewicz z Nowej Soli i Andrzej Dziuba z Tychów. W przedsięwzięcie zaangażowanych jest także kilku obecnych włodarzy miast, w tym prezydenci: Opola Arkadiusz Wiśniewski i Szczecina Piotr Krzystek. W czerwcu Nowa Polska organizuje konwencję, na której ma zaprezentować program i plany na najbliższą przyszłość. Według portalu Gazeta.pl, liderzy Nowej Polski i parlamentarzyści koła Centrum nie wykluczają współpracy między obydwoma start-upami politycznymi. Możliwe, że przy korzystnych sondażach obie formacje mogłyby połączyć siły i wystartować wspólnie w wyborach parlamentarnych w 2027 roku.

– Mamy sporo punktów stycznych, więc jak najbardziej widzę szansę na tego typu współpracę – zadeklarował w rozmowie z Gazeta.pl polityk związany z Nową Polską.

Wydaje się, że przed wyborami może się jeszcze sporo dziać na polskiej scenie politycznej. Przy mocnej prawicy, Konfederacja i Grzegorz Braun rosną przecież w siłę, Donaldowi Tuskowi potrzebni będą ewentualni koalicjanci. Ludowcy pewnie przekroczą próg wyborczy, podobnie Nowa Lewica, która być może pójdzie do wyborów z partią Razem. Potrzebna jest jednak partia centrowa, taka, jaką swego czasu stworzył Szymon Hołownia, bo jest na nią miejsce na polskiej scenie politycznej. I pewnie Donaldowi Tuskowi łatwiej byłoby stworzyć z nią koalicję niż z nowym ugrupowaniem, na którego czele stanąłby Mateusz Morawiecki.

REKLAMA 0011461412

MATERIAŁ INFORMACYJNY SIECI BIEDRONKA 0011459462

Historia, która zaczęła się po cichu. **Jak jedno „wyślij" odmieniło życie Krzysztofa Trojana**

Krzysztof Trojan nie planował zostać pisarzem. Przynajmniej nie takim „prawdziwym", którego książka trafia do rąk dziesiątek tysięcy dzieci w całej Polsce. Ten ojciec czwórki dzieci spod Krakowa przez lata pisał po godzinach, najczęściej wtedy, gdy mieszkanie wreszcie cichło, a codzienne obowiązki przestawały domagać się uwagi. To były teksty „do szuflady" – opowiadania, które istniały bardziej z potrzeby serca niż z wiary, że kiedykolwiek ujrzą światło dzienne.

Dlatego kiedy pewnego dnia kliknął „wyślij" i zgłosił swoją historię do konkursu *Piórko. Nagroda Biedronki za książkę dla dzieci*, nie powiedział o tym prawie nikomu. Nie chciał robić szumu, budować oczekiwań, ani tłumaczyć, dlaczego w ogóle próbuje. „Pisałem dla siebie" – mówi dziś. „Nie sądziłem, że to zainteresuje kogokolwiek spoza mojego najbliższego otoczenia".

A potem przyszła wiadomość, która zmieniła wszystko.

Niewypowiedziane marzenie, które stało się faktem

Krzysztof nie dowierzał, gdy dowiedział się, że to właśnie jego historia – „Co zrobić z tym smokiem?" została nagrodzona w kategorii Tekst. Wśród przyjaciół tę informację przyjęto z wielkim zaskoczeniem – większość znajomych nie miała pojęcia, że pisze.

„Byli zdziwieni, ale bardzo życzliwi. Dla nich to było odkrycie. Dla mnie – spełnienie czegoś, o czym nie mówiłem głośno" – wspomina.

Wygrana przyniosła mu nie tylko satysfakcję. Stała się także realną pomocą w momencie, w którym najbardziej jej potrzebował. Nagroda finansowa poważnie wsparła budżet związany z zakupem pierwszego własnego domu.

„To był idealny moment. Wynik ogłoszono trzy miesiące przed zakończeniem naszej dotychczasowej umowy najmu. Piórko dało nam nie tylko radość, ale też poczucie bezpieczeństwa".

Ale to, co zwycięstwo zmieniło najbardziej, jest niewidoczne na papierze – i nie da się tego przeliczyć na żadne kwoty.

Poczucie sprawczości, które zostaje na zawsze

„Zwycięstwo pozwoliło mi uwierzyć, że moje pisanie może interesować kogoś poza najbliższymi. To potężne uczucie sprawczości" – mówi Krzysztof.

Ta wiara sprawiła, że do pisania wrócił z nową energią. Zaczął redagować wcześniejsze teksty, planować kolejne opowieści. Rozmowy o pisaniu stały się czymś naturalnym w jego otoczeniu – tematem, który już nie zaskakuje, ale budzi ciekawość.

Piórko 2026 – konkurs, który dojrzewa razem z twórcami

To właśnie takie historie jak ta pokazały organizatorom, że Piórko powinno rosnąć wraz z uczestnikami. Dlatego

tegoroczna edycja przynosi największe zmiany w historii konkursu – przemyślane, odpowiedzialne i oparte na obserwacjach twórców.

Najważniejsza decyzja to pełne otwarcie konkursu na wszystkich uczestników. Znika ograniczenie mówiące, że uczestnik nie może mieć wcześniejszej publikacji.

To symboliczny, ale bardzo istotny krok: Piórko staje się przestrzenią dla wszystkich, którzy tworzą książki dla dzieci – niezależnie od ich doświadczenia.

Drugą fundamentalną zmianą jest wprowadzenie **dwóch równoległych ścieżek konkursowych:**

Piórko Wyobraźni
Ścieżka tradycyjna, w której powstaje wyłącznie w pełni autorska twórczość. To ukłon w stronę rzemiosła literackiego i ilustratorskiego. Nagrody w tej ścieżce są najwyższe w historii Piórka — po 120 000 zł netto dla autora tekstu i ilustratora oraz publikacja książki w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy.

Piórko Innowacji
Ścieżka dla twórców pracujących z narzędziami AI, pod warunkiem pełnej transparentności procesu. Prace nagradzane są kwotą 30 000 zł netto, a zwycięska książeczka zostaje opublikowana jako e-book powiązany QR-kodem z wydaniem drukowanym.

Istotną zmianą jest także **doprecyzowanie długości tekstów** – nowy przedział to **30 000–50 000 znaków**, co pozwala autorom tworzyć spójne, pełne historie, łatwiejsze do porównania i oceny.

Konkurs, który zmienia się po to, by dalej zmieniać życie

Nowe zasady, bardziej przejrzyste ścieżki twórcze i otwartość na różne sposoby opowiadania historii mają jeden cel: sprawić, by Piórko nadal było przestrzenią, która daje twórcom nie tylko nagrody, ale również impuls, by ruszyć dalej. Tak jak stało się w przypadku Krzysztofa Trojana, który pisał po nocach, w ciszy. A dziś tworzy inaczej — z odwagą.

PIÓRKO 2026
NAGRODA BIEDRONKI ZA KSIĄŻKĘ DLA DZIECI

Szczegółowe informacje na temat zasad konkursu i ważne terminy dostępne są na stronie: **https://piorko.biedronka.pl/.**

eprasa.pl 25b49663e2

FOT. ADAM JANKOWSKI

Biskup: Kaczyński nigdy nie chciał się przesuwać na pozycje skrajne, całe jego życie polityczne ogniskowało się wokół centroprawicy. Dlatego nie za bardzo widzę, w jaki sposób on mógłby odzyskać wyborców będących przeciwnych UE

BARTŁOMIEJ BISKUP: WIDAĆ ZARYS DWÓCH PIS-ÓW

– Różnice w PiS to nie tylko stosunek do UE. Kluczowa jest inna zmienna: czy być radykalnym czy umiarkowanym. Tym ważniejsza jest decyzja Kaczyńskiego o tym, kto ma być kandydatem na premiera pomostowego – mówi prof. Bartłomiej Biskup, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego

Agaton Koziński

Jarosław Kaczyński chce ogłosić w marcu nazwisko kandydata PiS na premiera. Tylko jaki jest sens przedstawienia takiej kandydatury półtora roku przed wyborami?
Rzeczywiście, jest na to trochę za wcześnie, sytuacja polityczna jest przecież dynamiczna, pewnie przed wyborami będzie wymagała dostosowania się do nowych okoliczności. Natomiast wydaje mi się, że zapowiedź prezesa to konsekwencja tego, co się dzieje w wewnątrz jego partii. Dlatego na początku, gdy usłyszałem o planie przedstawienia nazwiska premiera, pomyślałem, że Kaczyński rzeczywiście przedstawi to nazwisko. Natomiast teraz nabieram coraz więcej wątpliwości.

Myśli Pan, że na zapowiedzi się skończy? A może Kaczyński zrobi powtórkę z premierem technicznym, przedstawi Piotra Glińskiego 2.0?
Na pewno przeciąganie ewentualnego ogłoszenia nazwiska jest jednym z rozwiązań. Wewnątrz PiS ścierają się różne opinie, różne frakcje rozmawiają z prezesem Kaczyńskim i przekonują go do własnych rozwiązań. Ale też obecnie on stał się zakładnikiem własnych słów. Gdyby nazwiska premiera jednak nie ogłosił, byłby to sygnał, że w partii coś się sypie, że jakiś plan wewnętrzny nie wypalił.

Nie pierwszy i pewnie nie ostatni plan Kaczyńskiego, który by się rozsypał.
Oczywiście, on równie dobrze może nie ogłosić żadnego nazwiska, choć dzisiaj obstawiam, że jednak je przedstawi.

I w ten sposób zażegna wewnętrzne spory w PiS?
Zależy od tego, czy ten kandydat skupi wszystkich pod jedną flagą. W takich sytuacjach kluczowy jest czynnik czasu.

Deklaracje typu „wszystkie ręce na pokład" robi się pół roku przed wyborami, a nie półtora.
Dokładnie. Dziś sytuacja jest bardzo zmienna, do wyborów wszystko może wyglądać zupełnie inaczej, choćby z powodu sytuacji międzynarodowej. Dlatego uważam, że przedstawianie kandydata na premiera półtora roku przed wyborami może okazać się jedynie dolaniem oliwy do ognia sporów frakcyjnych wewnątrz PiS.

Myśli Pan, że Kaczyński ogłaszając nazwisko kandydata na premiera gra na zmianę większości jeszcze w obecnym Sejmie? Bo po rozpadzie Polski 2050 można sobie wyobrazić inną koalicję rządową niż obecna.
Nie można tego wykluczyć, takie rozwiązanie byłoby na pewno wyjściem z tej sytuacji. Kandydat na premiera przejściowego czy pomostowego miałby za zadanie właśnie rozbić w tej kadencji obecną koalicję. Albo przynajmniej trochę ją podgryźć.

Jak dużą przestrzeń do gry ma taki premier pomostowy?
Nie za bardzo go widzę. Polska 2050 - nawet w bardzo okrojonym składzie - zarzeka się, że trwanie koalicji jest jej priorytetem. Oni zresztą mają swoich ministrów i będą chcieli ich zachować na dłużej.

W nowej koalicji rządowej mogliby wytargować nawet więcej stanowisk rządowych.
Tak, mogliby, ale to jednak dosyć ryzykowne, tymczasem teraz funkcjonują w ramach stabilnej koalicji. Koszula zawsze jest bliższa ciału, a posiadany stołek ministerialny zawsze jest bliższy niż ten, który ewentualnie możemy za chwilę posiadać.

Oddzielna sprawa, że w przypadku tej partii stabilność jest możliwa tylko do końca kadencji. Dla posłów Polski 2050 w czasie wyborów nie będzie miejsca. Jak chcą więc o coś grać, muszą to robić już teraz.
Zakładam, że będą przede wszystkim chcieli uciekać do innych grupowań koalicyjnych, głównie do Koalicji Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. To dla nich najbardziej naturalne środowiska.

Do tych partii bliżej będą mieli pewnie rozłamowcy z Polski 2050, którzy poszli za Pauliną Henning-Kloską. Ci, którzy zostali z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, będą musieli pewnie szukać innej konfiguracji.
Na pewno na dla paru posłów Polski 2050 miejsce na listach się znajdzie, choć pewnie nie dla wszystkich. Oddzielna sprawa, że należy pamiętać o tym, że to PiS posiada obecnie największy klub parlamentarny, to daje mu mocny mandat do prowadzenia rozmaitych rozmów.

Czyli całkowicie szans premiera pomostowego Pan nie przekreśla?
Nie, choć jego ewentualnie szanse są bardzo małe. Bardziej zakładam, że rolą takiego kandydata na premiera byłoby podgryzanie obecnie rządzących, wprowadzanie fermentu. Uda się albo nie, ale trochę krwi rządowi taki premier pomostowy może zepsuć.

Gdy poznamy jego nazwisko, w naturalny sposób na nim skupią się światła medialnych reflektorów. Jak zareagują na to inni liderzy PiS?
Przede wszystkim najpierw musimy się dowiedzieć, kogo prezes wskaże. Spodziewam się jakiejś formy ucieczki do przodu, to znaczy wskazania kogoś od prezydenta albo jakiegoś samorządowca w typie prezydenta Stalowej Woli Lucjusza Nadbereżnego. Tego typu wskazanie byłoby też formą łagodzenia napięć pomiędzy poszczególnymi frakcjami wewnątrz PiS - żadna z nich nie poczułaby się wzmocniona kosztem innych, nikt nie miałby poczucia niedocenienia czy zagrożenia. Choć też nie spodziewam się, żeby tego typu ruch złagodził napięcia wewnątrz PiS-u. Wewnętrzne walki będą trwały dalej.

Jakie będą konsekwencje tego konfliktu? Twórcza destrukcja, która tylko mobilizuje PiS do walki w kampanii? Czy odwrotnie: ta partia już wpadła w korkociąg śmierci i tylko kwestią czasu jest, kiedy skłócona rozbije się o ziemię? Jak daleko to zaszło, według Pana?
Dziś idzie to zdecydowanie w kierunku destrukcyjnym, a nie konstruktywnym. Po stronie PiS można dostrzec dwa kierunki działania. Pierwszy to utwardzanie kursu, chęć odbijania elektoratu, który uciekł do Konfederacji i partii Grzegorza Brauna.

Stara doktryna Kaczyńskiego - że na prawo od niego może być tylko ściana.
Ale jest drugi kierunek, mówiący, że nie można dać się zwariować i stać się partią skrajną. W tej koncepcji PiS powinien iść także w stronę centrum, zachowywać się rozsądnie wobec zagrożeń zewnętrznych. Tych dwóch kierunków nie da tak prosto pogodzić. Dlatego właśnie uważam ten wewnętrzny spór w PiS za destrukcyjny. Nie za bardzo widzę, jakie korzyści może przynieść obranie twardego kursu, dziś specjalnych zysków to Prawu i Sprawiedliwości nie przynosi. Ściganie się na radykalizm z Braunem to nie jest dobry pomysł.

PiS lubił mówić o sobie, że jest „partią dużego namiotu", czyli skupiającą różne wrażliwości, bardziej i mniej radykalne. Kiedyś udawało im się te wrażliwości spinać, teraz z tym coraz większy problem. To kwestia tego, że Kaczyński jest coraz słabszy?
Widać przede wszystkim różnicę w komunikacji. Frakcje skrajnie dominują pod tym względem. Z prostej przyczyny: skrajne opinie zazwyczaj są po prostu lepiej słyszane. Na te różne kierunki w ramach PiS wpływ mają pewnie też spekulacje o tym, kto obejmie w partii schedę po prezesie. To też jest ważny czynnik wewnętrznych rozgrywek. Pytanie, czy Kaczyński będzie w stanie dalej trzymać lejce zadaje sobie obecnie wielu działaczy.

W 2011 r. Kaczyński po przegranych wyborach po prostu pozbył się z PiS skrajnych frakcji. Spadł w sondażach, ale potem się odbudował i wygrał wybory w 2015 r. Dziś widać, że na tak zdecydowany ruch go nie stać.
Jednak jest radykalna różnica między porażką w wyborach w 2011 r. i w 2023 r. O ile można było ciąć po skrzydłach w 2011 r., to teraz jest to praktycznie niemożliwe. Przecież jest już właściwie moment na to, żeby się zacząć konsolidować. Na jesieni zacznie się układanie list wyborczych i robienie analiz kampanijnych.

Teraz Pan mówi, że Kaczyński zmarnował pierwsze półrocze 2024 r.?

eprasa.pl 25b49663e2

Nie zmarnował. Miał wtedy na głowie wybory prezydenckie, więc nie mógł czyścić partii i układać jej od nowa. Proszę zresztą zauważyć, że w PiS-ie posypało się po wyborach prezydenckich. Najlepszy dowód na to, że Kaczyński czasu do tych wyborów nie zmarnował. Inaczej to wygląda po nich. Wtedy wydawało się, że będzie z górki i nastąpi wielki powrót prawicy w Polsce. Nic takiego jednak się nie stało.

A może PiS dał się zaskoczyć Tuskowi? Czarnek po inauguracji Nawrockiego mówił o koalicji, że przed nią „ostatnie podrygi". Tymczasem Tusk skonsolidował koalicję i wyraźnie umocnił się w sondażach.
To też na pewno był ważny czynnik. Tusk się dobrze ustawił w starciu z Nawrockim. Ustał początkowy kryzys, a potem się wzmocnił mocą mandatu Nawrockiego, ustawiając się do niego w kontrze. Przecież na początku wszyscy mówili, że jest już właściwie po Tusku. On to bardzo dobrze, bardzo sprytnie wykorzystał. PiS tego się nie spodziewał. Kaczyński zdaje się uznał, że jest już pozamiatane. Tymczasem PiS ugrzązł we własnych kłótniach otwierając pole dla Tuska. Rząd regularnie podgryza PiS, wyciągając jego różne afery i pseudoafery. Widać choćby, jak bardzo skomplikowała sytuację tej partii ucieczka Ziobry na Węgry. PiS nie za bardzo wie, jak się do tego odnieść.

Znajdą w końcu jakąś odpowiedź?
To nie jest tak, że w PiS nic się nie dzieje. Proszę zauważyć, że liderzy poszczególnych frakcji, tak jak Morawiecki czy Czarnek, robią robotę cały czas. Nieustannie jeżdżą, spotykają się z wyborcami, są aktywni. Nie ma u nich jakiegoś triumfalizmu. Może lekko dało się go zauważyć po wyborach prezydenckich, ale on szybko uleciał. Choć też prawdą jest, że inni działacze chyba nie za bardzo zdają sobie sprawę z tego, że cały czas trzeba pracować. Pytanie, co na to prezes.

Teraz prezes jednoznacznie opowiada się przeciwko SAFE – który rząd jednoznacznie chce przyjąć.
Komunikacja PiS w sprawie SAFE to gruby błąd komunikacyjny. Przede wszystkim dlatego, że ta partia się zderza z tak zwaną magią wielkich liczb. Z jednej strony mamy ogromne sumy.

44 mld euro dla Polski.
A z drugiej skomplikowane tłumaczenia, procenty, obligacje, rolowanie i tym podobne trudne zwroty.
Pod tym względem komunikacja rządu jest dużo łatwiejsza do przyswojenia.

Komunikację PiS komplikuje też fakt, że w niektórych sondażach liczba Polaków opowiadająca się za polexitem przekracza 20 proc. W dużej mierze są to wyborcy prawicy, także wyborcy PiS-u – choć ta partia zawsze opowiadała się za członkostwem Polski w UE. W jaki sposób ona może wyjść z tego szpagatu?
Rzeczywiście, ta sytuacja stanowi problem dla PiS-u jako partii prounijnej jednak. Owszem, to ugrupowanie często krytykowało Unię, ale to były wezwania do jej reform, a nie do wychodzenia.

Ale teraz Braun ciągle mówi o „eurokołchozie" i widać, że to działa, bo wyborcy PiS przechodzą do niego.
Wyraźnie widać, że przeciwnicy Unii Europejskiej stwierdzili, że nie muszą się już ukrywać. Wcześniej mówienie o wyjściu z UE było poglądem bardzo niepopularnym, wobec tego nikt się do niego wcześniej nie przyznawał. Teraz ten efekt przestał działać. Zwolennicy polexitu policzyli się przy okazji wyborów – najpierw masowo głosując na Konfederację, a potem przy okazji wyborów prezydenckich ujawniło się jeszcze bardziej radykalne skrzydło popierające Brauna. Efekt skali. Dziś już nikt nie boi się mówić otwarcie, że jest przeciw Unii Europejskiej. Nie sądzę, żeby poparcie dla polexitu wzrosło bardzo. Widać zmianę w sondażach, ale to raczej konsekwencja tego, że opadła bariera wstydu przed przyznawaniem się do takich poglądów.

Jak PiS powinien zarządzić tą zmianą? Czy ta partia ma szansę odzyskać wyborców, którzy odeszli do Brauna?
Kaczyński nigdy nie chciał się przesuwać na pozycje skrajne, całe jego życie polityczne ogniskowało się wokół centroprawicy. Dlatego nie za bardzo widzę, w jaki sposób on mógłby odzyskać tych wyborców będących przeciwnych UE.

Jeszcze kilka miesięcy temu prezes mówił, że PiS dalej może mieć ponad 40 proc. głosów.
Różne czynniki mają wpływ na motywacje wyborcze. Pytanie, czy PiS znajdzie metodę, by dotrzeć do tych wyborców, których utracił. Z jednej strony nie stracić za dużo wiarogodności w kwestiach unijnych, a z drugiej innymi propozycjami programowymi przeciągać wyborców na swoją stronę.

Albo PiS pęknie na dwie części: powstanie prounijna partia i antyunijna.
Tego też nie można wykluczyć. Nie wiem tylko, czy ta oś podziału jest rzeczywiście aż tak silna.

Widać ją było w ostatni weekend. Z jednej strony PiS na konwencji w Stalowej Woli ostro krytykował SAFE, z drugiej Mateusz Morawiecki na spotkaniach w Słupsku i Gdyni mówił przede wszystkim o gospodarce i wzmacnianiu więzi społecznych – a o SAFE bardzo delikatnie.
Tak, już widać zarys dwóch PiS-ów. Ale te różnice nie sprowadzają się tylko do stosunku do UE, to tylko jeden z czynników. Kluczowa wydaje mi się inna zmienna: czy być bardziej radykalnym czy bardziej umiarkowanym. Niewykluczone, że w końcu te oba obozy się rozejdą. Tym ważniejsza jest decyzja Jarosława Kaczyńskiego o tym, kto okaże się kandydatem na tego premiera pomostowego – i jak do jego propozycji ustosunkują się poszczególne frakcje.

Radosław Sikorski w czasie wystąpienia w Sejmie bardzo dużo mówił o groźbie polexitu. Widać, że dla rządzących to wygodny temat spychający PiS do narożnika.
Na pewno dużym sukcesem rządu jest fakt, że całą właściwie dyskusję w kraju przekierował w stronę programu SAFE. Właściwie nie ma obecnie innych kwestii. Nikt nie zajmuje się cenami pelletu, sytuacją w służbie zdrowia, zamykaniem porodówek, rosnącym bezrobociem. Dzisiaj nikt nie mówi o niczym innym niż o SAFE.

A czemu PiS nie uruchamia innych tematów? Wcześniej tej partii zawsze dobrze to wychodziło.
Właśnie, byli w tym dobrzy, ale teraz to nie działa. Być może to kwestia zmian organizacyjnych u nich.

Albo czytają badania, widzą, że nagle połowa ich wyborców chce polexitu i nie wiedzą, jak na to zareagować. Mają świadomość, że muszą podjąć egzystencjalną decyzję.
Te wyniki badań nie są łatwe dla nich. Ale tym bardziej w takich sytuacjach trzeba szukać nowych historii do opowiedzenia. Dzisiaj tego nie ma.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE 0011483764

Magenta AI rewolucjonizuje dostęp do sztucznej inteligencji. Pakiet narzędzi w jednej aplikacji od T-Mobile.

Trudno sobie dziś wyobrazić świat bez sztucznej inteligencji. Narzędzi wykorzystujących AI jest obecnie multum, a sieć zalewają generowane przy jej wykorzystaniu treści. Teraz do gry o użytkowników AI włącza się jeden z czołowych operatorów telekomunikacyjnych, T-Mobile. Czym jest Magenta AI?

Sztuczna inteligencja dla każdego
W czwartek, w Magenta Experience Center w Warszawie, mieliśmy możliwość zobaczyć i przetestować możliwości Magenta AI, nowy pakiet narzędzi sztucznej inteligencji, dostępnych bezpłatnie dla wszystkich użytkowników aplikacji „Mój T-Mobile". Operator deklaruje, że chce w ten sposób „odczarować" AI i pokazać ją jako technologię prostą, bezpieczną i przydatną w codziennym życiu.

Podczas prezentacji Magenta AI przedstawiciele T-Mobile mocno akcentowali wątek demokratyzacji dostępu do sztucznej inteligencji. Firma powoływała się na dane Deutsche Telekom, z których wynika, że Polacy najczęściej korzystają z AI do wyszukiwania informacji, nauki oraz edycji obrazów, przy czym wielu wciąż obawia się złożoności i kwestii bezpieczeństwa takich rozwiązań. Odpowiedzią ma być prosty w obsłudze, darmowy i zintegrowany z istniejącą aplikacją ekosystem trzech usług: ElevenLabs, Picsart i Perplexity Pro.

Maximiliano Bellassai, członek zarządu ds. B2C T-Mobile Polska, przekonywał, że innowacja „z natury jest inkluzywna" i nie powinna być zarezerwowana dla wąskiej grupy najbardziej technologicznie zaawansowanych użytkowników. Podkreślał, że Magenta AI ma pozwolić klientom „tu i teraz" przekonać się, jak AI może pomóc w pracy, nauce czy hobby – bez dodatkowych opłat i limitów. - *Chcemy budować zaufanie do AI i pokazywać, że nie musi ona być ani skomplikowana, ani droga* – mówił.

- *Chcemy dać użytkownikom możliwość bezpiecznego testowania, uczenia się i korzystania z potencjału*

sztucznej inteligencji poprzez sprawdzone i zaufane narzędzia. To dopiero początek, bo wierzymy, że AI powinno być dostępne dla każdego – zapowiedział z kolei Rickard Damm, Senior Vice President of Consumer AI w Deutsche Telekom, który do uczestników spotkania przemawiał z ekranu… w języku polskim, prezentując możliwości sztucznej inteligencji.

Trzy narzędzia w jednej aplikacji
Generowanie naturalnie brzmiącego, ludzkiego głosu to też jeden z trzech filarów Magenta AI. Jest to możliwe dzięki integracji z ElevenLabs, firmie specjalizującej się właśnie w syntezie i generowaniu mowy. W praktyce każdy użytkownik może tworzyć naturalnie brzmiące narracje audio – bez konieczności dostępu do studia nagraniowego czy specjalistycznego sprzętu.

Leander Zapheriou z ElevenLabs zwracał uwagę, że głos jest jednym z najbardziej naturalnych sposobów komunikacji i dzięki AI otwiera się możliwość wykorzystania go „na niespotykaną wcześniej skalę". Współpraca z T-Mobile ma pozwolić na dostarczenie rozwiązań voice AI milionom użytkowników w modelu, który firma określa jako „bezpieczny i etyczny".

Drugim elementem pakietu jest Picsart – platforma do edycji zdjęć i wideo, która wykorzystuje AI, aby uprościć pracę nad materiałami wizualnymi. Podczas konferencji pokazywano m.in. jak Picsart radzi sobie z podmianą tła, usuwaniem niepożądanych elementów z drugiego planu i tworzeniem kreatywnych efektów. To narzędzie, które może przydać się zarówno aktywnym użytkowników mediów społecznościowych, jak i sprzedającym na platformach aukcyjnych, którym zależy na atrakcyjnej wizualnie prezentacji produktów.

Dr Hrach Tamrazyan z Picsart podkreślał, że AI w kreatywności „nie zastępuje człowieka", lecz daje mu większą kontrolę i swobodę tworzenia. Zwracał też uwagę, że rozwiązania rozwijane wspólnie z T-Mobile mają łączyć profesjonalne możliwości z prostą obsługą i dbałością o bezpieczeństwo użytkowników.

Trzecim filarem Magenta AI jest Perplexity Pro – narzędzie określane jako inteligentna wyszukiwarka, która zamiast listy linków dostarcza konkretne odpowiedzi wraz ze źródłami. Perplexity było już wcześniej dostępne dla części klientów, a zainteresowanie tym rozwiązaniem zachęciło operatora do udostępnienia go szerszej grupie użytkowników.

Perplexity Pro ma służyć do nauki, pracy z tekstem i eksplorowania informacji w bardziej uporządkowany sposób, redukując „chaos informacyjny", z którym mierzą się użytkownicy klasycznych wyszukiwarek. To właśnie transparentność (źródła odpowiedzi) i wiarygodność mają być głównymi przewagami tego komponentu Magenta AI.

Wszystkie te narzędzia dla klientów sieci są darmowe, nielimitowane, dostępne w aplikacji „Mój T-Mobile" i zaprojektowane tak, by były zrozumiałe także dla mniej zaawansowanych użytkowników. Operator przekonuje, że Magenta AI ma szanse stać się „zaufanym przewodnikiem" po świecie sztucznej inteligencji, co w gąszczu mnożących się narzędzi AI może mieć niebagatelne znaczenie.

eprasa.pl 25b49663e2

PROGRAM SAFE. BIERZEMY CZY ODRZUCAMY?

W piątek Sejm ma przyjąć ustawę wdrażającą program SAFE. Czy Karol Nawrocki podpisze ustawę i z pieniędzy SAFE będą mogły skorzystać polskie siły zbrojne? I przede wszystkim nasz przemysł – bo większość pieniędzy ma zostać wydana w Polsce

Dawid Kamizela, ORobert Szulc

FOT. FOT KRZYSZTOF KAPICA

Środki z programu SAFE mają być wydane między innymi na Kraby, które tak dobrze sprawdziły się w walkach na Ukrainie, a także na Borsuki i osławione Pioruny

SAFE znaczy tyle co „bezpieczny", „bezpieczeństwo". Pochodzi od pierwszych liter nazwy programu Security Action for Europe. To po prostu nowy unijny instrument finansowy wymyślony i stworzony do tego, by szybko można było zwiększyć możliwości obronne państw Unii Europejskiej. Co ważne - pierwszym powodem uruchomienia SAFE jest zaspokojenie głodu środków finansowych w obecnych czasach z przeznaczeniem na zakup systemów obronnych. A te w obecnych warunkach geopolitycznych znacząco podrożały, co wynika oczywiście ze wzrostu cen na surowce, ale także i zerwanych łańcuchów dostaw. Choć działania wojenne toczą się za naszą wschodnią granicą, to ma to ogromny wpływ na niemal cały świat i wiele branż przemysłowych.

Drugim powodem jest pomoc we wzmocnieniu europejskiej bazy technologiczno-przemysłowej - stąd promowanie zakupów przez członków UE właśnie w UE (oraz w państwach włączonych do instrumentu, m.in. EOG/EFTA i Ukrainie). Co ważne, mechanizm przewiduje ścieżki wyjątków oraz możliwość dopuszczania państw trzecich poprzez dodatkowe porozumienia - przykładem jest decyzja Rady dotycząca umowy z Kanadą.

Jaka jest skala programu SAFE?

Chodzi o nawet 150 mld euro w formie konkurencyjnie oprocentowanych, długoterminowych pożyczek finansowanych emisją długu UE. To ważna rzecz, podnoszona bowiem przez niektórych sceptyków, a nawet przeciwników - że SAFE to nie dotacja, ale pożyczka. Za to na korzystny procent - bo rzędu 3 proc. rocznie, z długim okresem karencji. Przez pierwsze 10 lat nie będziemy spłacać kapitału, tylko odsetki, a maksymalny okres spłaty to 45 lat. Co ciekawe, spłaty nie będą finansowane z tej części budżetu, która przeznaczona jest na obronność - zapewniał o tym minister finansów Andrzej Domański .

Sceptycy i przeciwnicy SAFE wskazują, że Niemcy nie biorą kredytów na zakupy broni w tym programie. Ale odpowiedź na ten problem jest prosta - jako państwo mają wyższy (AAA) rating finansowy niż my (S&P i Fitch: A-; A2 Moody's), a to oznacza, że mogą zadłużać się na korzystniejszych warunkach. Warto nadmienić, że w programie biorą udział m.in. Francja, Włochy, Rumunia, Litwa, Słowacja czy Czechy.

Już chyba każdy wie, że Polska została - przynajmniej na tę chwilę - największym beneficjentem SAFE. Mowa o kwocie ok. 43,734 mld euro (powszechnie wszyscy mówią 43,7 mld euro - ponad 180 mld złotych). Rząd komunikuje, że SAFE ma wspierać nie tylko wojsko, ale też Policję i Straż Graniczną. Wiceszef Ministerstwa Aktywów Państwowych Konrad Gołota - oraz m.in. szef MON i premier Donald Tusk - wielokrotnie zapewniali, że ponad 80 proc. tych środków ma trafić do polskiego przemysłu obronnego.

Co i od kogo chcemy kupić z SAFE?

Mało kto powtarza fakt, że to Wojsko Polskie, a nie politycy, przygotowało listę projektów, na które miałyby zostać pożyczone pieniądze z SAFE. Przypomnijmy, że są ograniczenia geograficzne wydatkowania środków - w kontraktach zasadniczo do 35 proc. kosztu komponentów może pochodzić spoza UE / Ukrainy / Europejskiego Obszaru Gospodarczego (Norwegia, Islandia, Liechtenstein).

Trzeba zaznaczyć, że tylko prosta broń jest produkowana wyłącznie przez jeden zakład. Złożone systemy uzbrojenia są zazwyczaj montowane z części dostarczanych przez wielu wykonawców, państwowych, prywatnych; bywa, że z różnych państw - USA czy z Azji. Niektóre z nich produkowane są w Polsce na licencji, inne dostarczane już w gotowej formie, a montaż odbywa się w zakładach tzw. integratora. Stąd brak w SAFE kategorycznego sformułowania „produkt w 100 proc. z UE".

Co konkretnie chcemy kupić? Szczegółowa lista jest wciąż tajna, bo jak powtarzała wiele razy Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, pełnomocniczka rządu ds. programu SAFE, taki dokument byłby prezentem dla wroga, bo obnaża nasze słabe punkty i wskazuje, na jakich polach Wojskie Polskie powinno zostać wzmocnione. Co ciekawe - do listy ma dostęp całkiem spora liczba urzędników oraz polityków - nawet z grona opozycyjnych klubów (członków parlamentarnych komisji obrony), którzy podnoszą argument, że chcemy pieniądze z unijnego programu wydać w niemieckich firmach zbrojeniowych.

Od Borsuka do tankowców

Niektóre projekty polskiego SAFE były już wymieniane - choćby przez premiera Donalda Tuska, który wspomniał, że 20 mld zł ma dostać Huta Stalowa Wola. A to tu właśnie zostaną zamówione kolejne bojowe wozy piechoty Borsuk. To najnowszy nasz wóz dla piechoty, który ma zastąpić przestarzałe już posowieckie „bewupy" i zapewnić żołnierzom osłonę, mobilność oraz siłę ognia dostosowaną do współczesnego pola walki. Co warte zauważenia - Borsuk to wóz pływający, może pokonywać przeszkody wodne „z marszu". Konstrukcję oparto na nowoczesnym podwoziu gąsienicowym, z modułowym opancerzeniem i systemami obserwacji oraz łączności. Standardem jest bezzałogowa wieża ZSSW-30, uzbrojona w armatę automatyczną kal. 30 mm, sprzężony karabin maszynowy i przeciwpancerne pociski kierowane, co pozwala zwalczać piechotę, cele lekko opancerzone i wozy bojowe.

Mówi się także o zakupach samobieżnej armatohaubicy KRAB kalibru 155 mm dla Wojsk Lądowych. Także z Huty Stalowa Wola. To podstawowy system artylerii lufowej dalekiego zasięgu. Osadzona jest na podwoziu gąsienicowym i korzysta ze standardu NATO 155 mm/52, co umożliwia użycie szerokiej gamy amunicji. Krab działa w ramach dywizjonowego modułu ogniowego „Regina" i jest zintegrowany z systemami kierowania ogniem oraz łączności, dzięki czemu może szybko przyjąć dane o celu, oddać salwę i odjechać na inne stanowisko (taktyka „shoot-and-scoot"). Zapewnia dużą siłę rażenia, wsparcie dla wojsk manewrowych oraz zdolność zwalczania celów na dystansach rzędu kilkudziesięciu kilometrów, zależnie od użytej amunicji - tej 155 mm, na którą także zapewne wydamy pieniądze z SAFE.

Safe posłuży zapewne do zakupów dronów obserwacyjnych FlyEye . To bezzałogowy statek powietrzny klasy mini (produkowany przez Grupę WB), używany do rozpoznania i obserwacji. System jest lekki, przenośny - wypuścić go może żołnierz po prostu „z ręki". To dron wielorazowy, lądowanie odbywa się w sposób bezpieczny dla płatowca. FlyEye ma w głowicy kamerę dzienną i termowizyjną, wykrywa i śledzi cele niezależnie od pory dnia. Dostarcza obraz i dane w czasie rzeczywistym, wspierając m.in. artylerię, rozpoznanie i ochronę zgrupowań wojsk. Nasze wojsko ma tę stale ulepszaną konstrukcję od 2010 r., używają jej także Ukraińcy (na Ukrainie jest także tajna ich fabryka).

Oczywiście możemy także kupić sprzęt od innych europejskich państw - ciekawą opcją może być lekki, dwusilnikowy śmigłowiec wielozadaniowy Airbus Helicopters w wersji wojskowej - H145M . To maszyna do zadań transportowych, ewakuacji medycznej, wsparcia sił specjalnych, łączności i rozpoznania. Dzięki nowoczesnej awionice (m.in. pakiet Helionix) i automatyzacji lotu może działać w trudnych warunkach pogodowych oraz w nocy. Jest modułowa - łatwo konfiguruje się ją pod konkretne role, a w wariancie bojowym może korzystać z systemu uzbrojenia HForce (np. karabiny, niekierowane rakiety, zasobniki z pociskami itp.). Wojskowy śmigłowiec jest składany w Niemczech, ale może zawierać systemy produkowane m.in. we Francji, Japonii, USA, Belgii, Kanadzie.

Od dawna nasza armia marzy o powietrznych tankowcach. Naszym wyborem z SAFE będzie zapewne Airbus A330 MRTT - wielozadaniowy samolot wsparcia, oparty na pasażerskim A330, przystosowany do tankowania w powietrzu oraz transportu. Może przekazywać paliwo innym samolotom za pomocą przewodu giętkiego z koszem (hose-and-drogue) oraz - w wybranych konfiguracjach - sztywnego wysięgnika (boom). Może także przewozić ludzi, ładunki i może zostać szybko skonfigurowany do funkcji ewakuacji medycznej (MEDEVAC) i powietrznego szpitala. Duży zapas paliwa i daleki zasięg zwiększa autonomię działań lotnictwa, wydłuża czas dyżurów bojowych - a to umożliwia „projekcję siły" na duże odległości. Jest produkowany we Francji i Hiszpanii.

To oczywiście nie jedyne planowane zakupy. Na słynnej już i tajnej liście znajdą się z pewnością także inne systemy uzbrojenia produkowane w Polsce i za granicą. Choćby elementy do systemu obrony powietrznej SAN. No i nie zapominajmy o jeszcze jednym aspekcie - inne państwa UE będą chciały także kupić pewne systemy uzbrojenia w Polsce. Można zgadywać, że chodzi choćby o sprawdzonego w walkach na Ukrainie Pioruna.

SAFE oczywiście zostało zdominowane przez zakupy dla wojska, ale na programie chcą także skorzystać służby podległe MSWiA - chodzi o Straż Graniczną, Policję, Służbę Ochrony Państwa. Warto zauważyć, że SG to formacja, która na pierwszej linii dziś strzeże wschodniej flanki NATO. Policja, SG i SOP przygotowały projekty na ok. 1,5-1,7 mld euro. Wskazywane są takie cele: drony i systemy antydronowe systemy wzmocnienia ochrony wschodniej granicy (w tym rozwiązania teleinformatyczne / nadzoru) statki powietrzne (w praktyce wymienia się m.in. śmigłowce) łodzie (dla działań na wodzie i ochrony granicy) transportery opancerzone / pojazdy specjalne - do działań kontrterrorystycznych broń i amunicja ochrona balistyczna i wyposażenie funkcjonariuszy (np. kamizelki, osłony) łączność i infrastruktura łączności / bazy danych.

Co zrobi prezydent?

O decyzji prezydenta dowiemy się już niedługo. Na razie środowiska opozycyjne ustawiają się w kontrze do zamiarów rządu. Podnoszą takie argumenty jak to, że Polska odwraca się od największego sojusznika, (USA), a zwraca ku państwom, które chcą na nas tylko zarobić, a nie słuchały przestróg, że prowadzenie interesów z Moskwą skończy się wojną. Niektórzy podnoszą mechanizm „warunkowości" zawarty w unijnych aktach SAFE, inni to, że to Unia Europejska będzie decydować o kształcie polskich sił zbrojnych. Pewne są jednak trzy rzeczy - po pierwsze SAFE to nie jedyna szansa na pieniądze na zbrojenia dla Polski, po drugie - i tak będziemy kupować dla wojska sprzęt w USA i Korei Południowej i zapewne w innych państwach poza UE, a po trzecie - bez względu na różne przeszkody nie zapomnimy o konieczności rozwoju własnych sił zbrojnych, bo już chyba nikt nie da się nabrać na to, że na świecie może zapanować pokój.

STREFA OBRONY

eprasa.pl 25b49663e2

PULS

#205

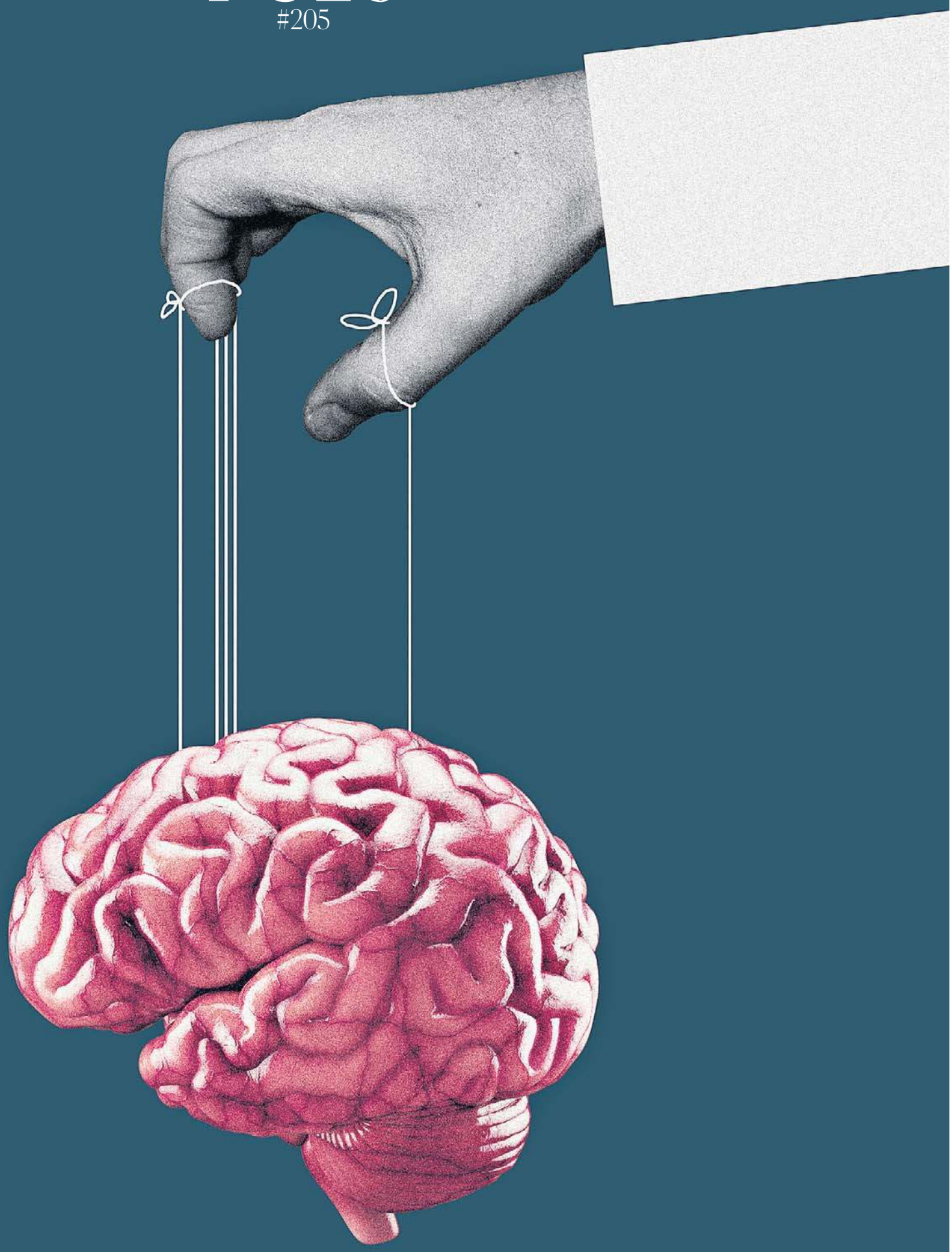

Str. 14–15

Gdzie się czAI – AI?

BT

eprasa.pl 25b49663e2

Alicja Polewska

CZWARTEK. CZTERY LATA TEMU

Jak zawsze wycisnęłam sok z cytryny i dolałam letnią wodę. Resztę zagrzałam na herbatę, ale, że zaczynam dzień od zielonej, więc zaczekałam chwilę, żeby ostygła w kubku. Było jakoś przed siódmą rano. Pstryknęłam pilotem telewizora i…

Nie pamiętam, czy odebrało mi głos, czy krzyknęłam stawiając cały dom na nogi: WOJNA!

Obrazy na telewizyjnym ekranie migotały jeden za drugim. Informacje w internecie zmieniały się jak w kalejdoskopie. Rozdzwoniły się telefony, wzdłuż kręgosłupa zaczął pełznąć strach.

Podczas redakcyjnego kolegium na zmianę uspokajaliśmy się i przygotowywaliśmy na to, co może się wydarzyć. Pytanie o krewnych czy znajomych w Ukrainie (dzisiaj to takie oczywiste, że mówimy „w Ukrainie", wtedy powszechne było „na Ukrainie" – dopiero językoznawcy wytłumaczyli, jak ważna jest ta niewielka z pozoru zmiana w naszej mowie) – czy można nawiązać kontakt, czy powiedzą, jak sytuacja wygląda z ich perspektywy. Ktoś miał tam wujka, ale niestety, nie udało się z nim skontaktować.

Mam przyjaciółkę, która mieszka jakieś 50 km od Przemyśla. Długo zbierałam się, żeby do niej zadzwonić. No bo o co zapytać? Jak się masz? – głupio jakoś. Jest dziennikarką. Wsiadła w samochód i ruszyła pod granicę, była jedną z pierwszych, którzy otworzyli drzwi uchodźcom wojennym.

A potem ruszyła fala.

Ze wschodu szli ludzie z pustką w oczach, kotem w pudle i skamieniałym sercem. U nas wzbierało tsunami pomocy. Stanęliśmy jeden obok drugiego w wielkim łańcuchu dobra.

Ktoś wtedy cicho powiedział: halo, nie spalajcie się tak, to nie będzie sprint, ale maraton.

Niestety, miał rację.

Cztery lata później z tamtych emocji nie ma już nic. Prawie nic. Obrazki w telewizorze? No są, codziennie, ale bardziej wzruszający jest mały makak, który zaprzyjaźnił się z pluszową małpką, kiedy odrzuciła go matka. Polityczna jatka zastąpiła tamtą wspólnotę deklaracji o wsparciu braci Ukraińców. I ruskie trolle robią robotę: tu Ukrainiec wszedł przed Polakiem do lekarza, a tam rozbija się kosztowną limuzyną na kijowskich blachach. I jeszcze ten Wołyń. I Bandera wiecznie żywy…

Został strach.

W tle. Że jeśli oni przegrają, to nawała ruszy na nas. Ale czy aby na pewno? Więc dalej w chocholi taniec.

Jeszcze jeden raz.

Adam Buła

CIĘŻKI LOS OCZYWISTYCH OCZYWISTOŚCI

Radosław Sikorski postawił sprawę jasno, więc cytowany jest przez światowe agencje: nie będziemy frajerami! Tylko czy na pewno?

Czwartek. 26.02. Premier Tusk podbija w socialach informację z raportu MFW, że Polska wyprzedziła Hiszpanię pod względem dochodu na mieszkańca. Minister SZ Sikorski w sejmowym expose wykłada jak krowie na rowie oczywistość, że silna Polska musi stać na dwóch nogach: sojuszu z USA i integracji z silną, unijną Europą. Na konferencji zaraz potem prezydent Nawrocki wyjątkowo koncyliacyjnie potwierdza, że co do tych pryncypiów jest zgoda. Promowany za PiS szef Sztabu Generalnego, gen. Kukuła wprost oświadcza, że armia jest za SAFE i to wojsko robiło listę zakupów w tym programie. I co? Ano niewiele, bo wojna polsko-polska musi trwać, więc: Polska jest w ruinie, uratuje nas tylko polexit , a pomaganie Ukrainie to zdrada narodowa.

Tajemnica łagodnej konferencji prezydenta wyjaśniła się więc szybko, gdy jego minister, szef Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz po raz kolejny skorzystał z regulaminowej możliwości i zaraz po Sikorskim wygłosił alternatywne expose o polityce zagranicznej Polski. Tu już miło nie było, a przemówienie Przydacza sprowadzało się do tego, że za Sikorskiego i przez Tuska Polska polityki zagranicznej albo nie ma albo ma do d… Swoje dorzucił kolejny mówca, mister SZ za Morawieckiego, Zbigniew Rau. Próbka: to, że PiS wciska rządowi Tuska winę za wejście w życie umowy Unii z Mercosur, przyjętej za zgodą ich rządów, to już stara śpiewka. Ale weź spróbuj podyskutować z takim zdaniem Raua o Mercosur: „załamanie polskiego rolnictwa będzie sponsorować eksport niemieckich samochodów". Nasze rolnictwo „zdychało" w ustach polityków już tyle razy, że rzeczywiście mógłby je wreszcie ktoś dobić z litości… Zwłaszcza że jak przeżyje jednak argentyńską wołowinę, to już na pewno zabije je ukraińskie rolnictwo, gdy ta wejdzie do Unii.

Minister Sikorski powiedział w Sejmie dokładnie tak: „Byliśmy, jesteśmy i będziemy lojalnymi sojusznikami Ameryki. Ale nie będziemy frajerami". Mówił to przypominając Jałtę, gdzie Amerykanie przehandlowali Europę Wschodnią w zamian za wsparcie Rosji przeciw Japonii. I to rzeczywiście jest realna oś sporu: PiS i prezydent Nawrocki wydają się opierać na bezalternatywnej wasalności wobec Ameryki Donalda Trumpa, zagrożenie i problem widząc w europejskiej integracji (Niemcy, Niemcy!!!). Dla równowagi więc oskarżają Sikorskiego i rząd Tuska o coś dokładnie odwrotnego: wasalność wobec Unii (tfu, Niemiec!) i bezbożne „stawianie się" temu ważniejszemu Donaldowi.

Porzucając skrajności, to świetna sytuacja, by Polska prowadziła skuteczną politykę zagraniczną, mogąc swobodnie „grać na dwóch fortepianach". No ale jak grać, gdy PiS ustami prezesa usiłuje narzucić melodię „Unia jest po to, by wziąć nas pod niemiecki but, a Polacy marzą o Pax Americana".

Prezydent Nawrocki powiedział też, że Sikorski przez 15 minut budował konstrukcję, że grozi nam polexit, a potem ją rozbrajał, gdy tymczasem takiego zagrożenia nie ma. Najwyraźniej więc nie słucha ostatnio zbyt pilnie polityków PiS. Którzy rzeczywiście mają problem. I – niestety – rozwiązują go tak, że zaczynają robić problem nam wszystkim. Przyjęty kurs, żeby na zagrożenie rosnącą popularnością Konfederacji Brauna odpowiedzieć, robieniem z PiS jeszcze większej, prawicowej szurii, okazało się receptą na postępujący chaos w przekazie. Nagle PiS „gada polexitem", sprzeciwia się przyjęciu Ukrainy do Unii i walczy z SAFE z entuzjazmem godnym świeżo odznaczonego komsomolca. I… nieuchronnie w sondażach zbliża się do przełamania w dół granicy 20 proc. poparcia. Co nie wywołuje w partii refleksji, tylko chęć robienia więcej tego samego w nadziei na osiągnięcie innego efektu.

A rzeczywisty efekt. Prezydent Nawrocki podpisze ustawę wdrażającą 180 mld dla armii z SAFE, bo PiS-u już nie stać, by się na niego obrazić, a Nawrockiego nie stać na ryzyko, że obrazić mogłaby się na niego armia. Sama partia do wyborów się rozpadnie, bo kurs na udawanie Brauna da Morawieckiemu dość bardziej przytomnych od frakcji „maślarzy" szabel, by taki ruch wykonać. Ale do tego czasu czeka nas jeszcze więcej chaosu i histerii. Przy niewielkiej nadziei, że dni takich jak ostatni czwartek będzie na tyle dużo, by trudniej było szurom walczyć z oczywistymi oczywistościami.

Wszyscy dostrzegamy zagrożenie. Sytuacja jest poważna. Świadomość niebezpieczeństwa może paraliżować lub mobilizować. Na paraliż nie wolno nam sobie pozwolić. Pasywność lub liczenie na innych to zaproszenie do eskalacji. Tak samo jak wykrzykiwanie, że to nie nasza wojna

SZEF MSZ RADOSŁAW SIKORSKI W EXPOSE WYGŁASZANYM W SEJMIE

eprasa.pl 25b49663e2

FOTO*komentarz tygodnia*

FOT. AUTOR

25 LUTEGO, TEHERAN. **„Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę" - głosi napis powieszony na polecenie władz na ulicach miast Iranu. Ciągle utrzymuje się napięcie wojenne, USA cały czas konsolidują wojsko w regionie, przesunęły tam dwa lotniskowce. Starcie wydaje się nieuchronne. Już w ten weekend?**

FOT. PAP/EPA/MICHAEL KAPPELER / POOL

25 LUTEGO, PEKIN. **Kanclerz Niemiec z wizytą w Chinach wzmacniającą relacje biznesowe obu krajów. Niedawno USA zarzucały Niemcom zbyt duże uzależnienie od Chin. Friedrich Merz chyba się tym nie przejmuje**

FOT. PAP/EPA/TOLGA AKMEN

22 LUTEGO, LONDYN. **Film Paula Thomasa Andersona (po prawej) „Jedna bitwa po drugiej" z Leonardo DiCaprio i Teyaną Taylor w rolach głównych rozbił bank z nagrodami BAFTA. Powtórka przy Oscarach**

REKLAMA 0011483667

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

Nie nadejdzie jedna wszechmocna AI, która zrobi wszystko za nas. Największa szansa dla Polski nie leży w kopiowaniu globalnych gigantów, lecz w budowaniu własnych rozwiązań dla medycyny, administracji, edukacji i biznesu – mówi prof. Włodzisław Duch

Anita Czupryn

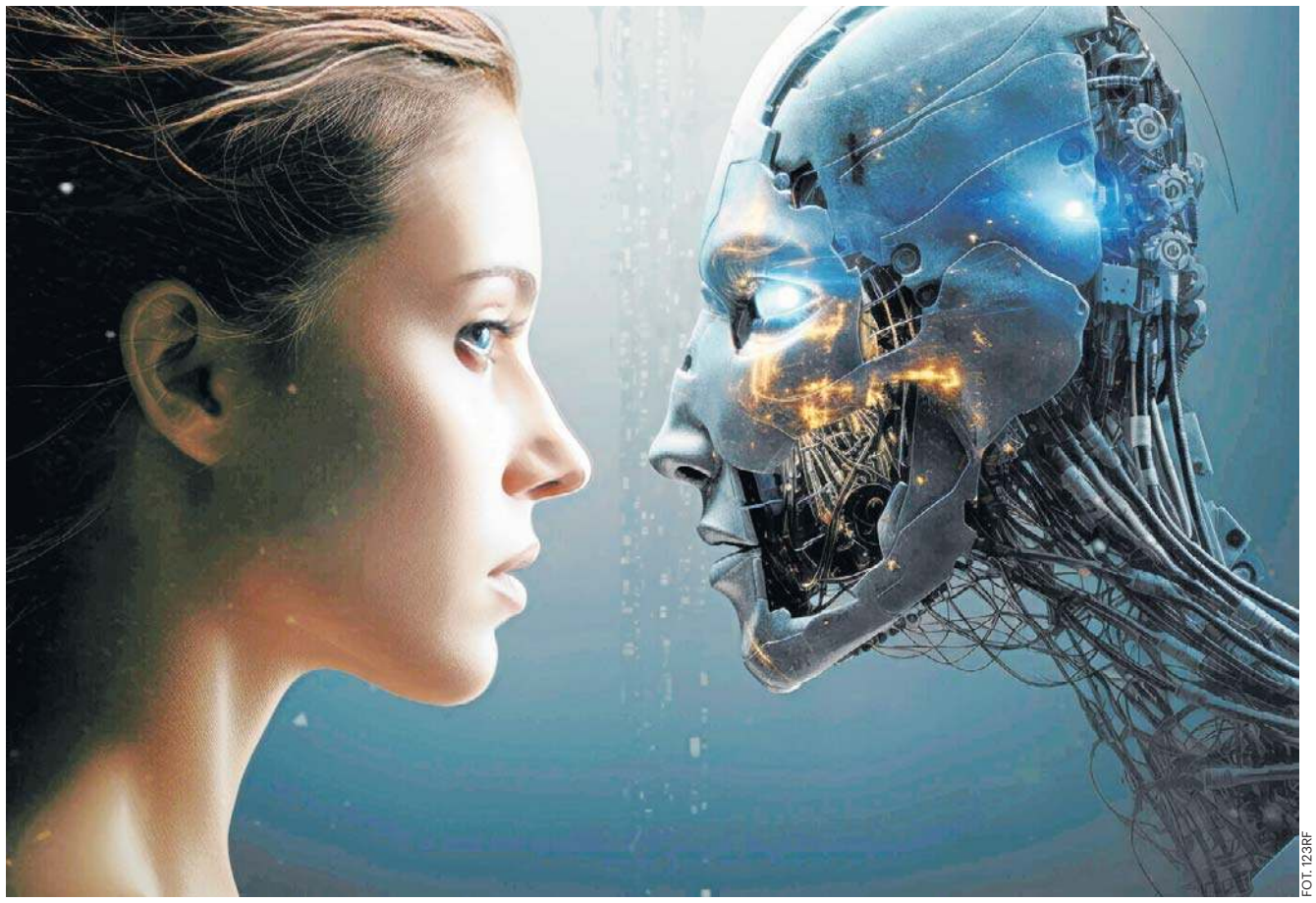

FOT. 123RF

Prof. Duch: Wszystkich zadziwia to, jak szybko AI rozwinęła się w ostatnich kilku latach

POLSKA W EPOCE AI. PROF DUCH: SZANSA JEST, ALE ŚWIAT NIE BĘDZIE CZEKAŁ

W filmie „Poland. Mission Confidence", zrealizowanym na zlecenie Fundacji Roberta Dobrzyckiego, zapowiada pan stworzenie w naszym kraju sztucznej inteligencji bardziej dostosowanej do potrzeb człowieka. Co konkretnie ma pan na myśli?

Miałem na myśli konkretny projekt, który zgłosiliśmy do konkursu w programie Horyzont Europa, w ścieżce Research and Innovation Action (RIA). Niestety, dofinansowanie dostały inne dwa albo trzy projekty; duże, rzędu 20 mln euro. Nasz projekt też był duży: 31 partnerów, z czego kilku z Polski. Chodziło o stworzenie systemu opartego na sztucznej inteligencji, który wspomagałby opiekę zdrowotną poprzez analizy, jak i wsparcie pracowników ochrony zdrowia. To miało być rozwiązanie, które dałoby się szeroko wdrażać w całej Europie. Brała w tym udział Fundacja Global Artificial Intelligence i liczne instytuty związane ze zdrowiem. Liderem była grupa z Heidelbergu. Takich inicjatyw jest dziś zresztą więcej. Na przykład kończymy też projekt związany z konkursem ogłoszonym przez firmę Dell; można było wygrać mikrosuperkomputer oparty na kartach NVIDIA. Zgłosiło się 630 bardzo różnych projektów. Pokazują one jedną rzecz: rośnie zapotrzebowanie na AI, która zachowuje prywatność i działa lokalnie. A do tego takie podręczne superkomputery bardzo się przydają. Zastosowań jest mnóstwo: od odciążania biurokracji, przez analizy i dokumentację medyczną, po nagrywanie i analizę sesji medycznych czy wsparcie w psychiatrii. Są projekty wspomagające terapię, ale też bardziej naukowe, na przykład z obszaru genomiki. Są też bardzo praktyczne zastosowania. Prawnicy są dziś bardzo zainteresowani AI, jeśli chodzi o wyszukiwanie informacji i wspomaganie pisania dokumentów, które jest uciążliwe, a często schematyczne. AI może tu przynajmniej przygotować dobry szkic. Do tego dochodzi wsparcie seniorów, walka z dezinformacją, zastosowania biznesowe, ale też pomoc osobom z niepełnosprawnościami, na przykład wsparcie osób niewidomych czy rozwiązania związane z językiem migowym. Naprawdę bardzo dużo się dzieje.

Co oznacza fakt, że projekt przepadł w konkursie i nie dostanie dofinansowania? Co się teraz z nim stanie? Upadnie?

Mam nadzieję, że nie. Na 12 możliwych punktów dostaliśmy 9,5 punktu, więc byliśmy tylko trochę poniżej kreski. To nie była więc bardzo krytyczna ocena. Trzeba też pamiętać, że projekt z udziałem 31 instytucji z całej Europy bardzo trudno się pisze. Trudno zebrać wszystkie informacje, dopilnować terminów i utrzymać spójność całości. Zresztą, z częścią uwag oceniających się zgadzam; pewnych rzeczy rzeczywiście brakowało, bo projekt był organizowany dość późno. Ale jeśli ma się taką grupę partnerów, i to silnych partnerów z całej Europy, to można ten potencjał wykorzystać przy kolejnych konkursach. Dziś szanse w niektórych programach spadają poniżej 10 proc., więc nie należy się dziwić porażkom. Trzeba po prostu próbować dalej.

Jak się panu podoba projekt polskiej sztucznej inteligencji, Bielik?

W Polsce jest teraz kilka takich projektów. Bielik robi chyba najwięcej szumu, bo ma charakter społecznościowy. Ale projektem wspieranym przez państwo jest przede wszystkim PLluM, tworzony głównie przez ludzi z Wrocławia i Łodzi, a także przez OPI, czyli instytut badawczy podlegający bezpośrednio Ministerstwu Nauki. To projekt, który ma dziś największą szansę na szerokie zastosowania w administracji publicznej. Aplikacja mObywatel będzie korzystała z wirtualnego asystenta opartego na PLluM-ie, chatboty w ministerstwach też mają być na nim oparte. Sporo usług dla obywateli, na przykład upraszczanie dokumentów urzędowych czy prawniczych, ma być wspomaganych właśnie w ten sposób. Bielik jest jednak bardzo ważny, bo to inicjatywa oddolna. Wykonano tam ogromną pracę i jestem pod wrażeniem tego, co udało się zrobić. To również rodzina modeli językowych. Twórcy próbują pokazać, że ich rozwiązania mogą liczyć się w benchmarkach modeli otwartych i zaczynają konkurować z innymi. A trzeba pamiętać, że dużych modeli językowych w Europie jest bardzo mało. Poza francuskim Mistralem, który regularnie pojawia się w ważnych benchmarkach, europejskich modeli w czołówce właściwie prawie nie widać. Bielik ma tu pewną szansę. To bardzo ambitny projekt, w który zaangażowało się sporo osób. Interesuje się nim także Ministerstwo Cyfryzacji. Twórcy znaleźli też partnerów, m.in. InPost i wsparcie Google Cloud, więc jest szansa, że będzie to dość niezależny projekt rozwijany na większą skalę. A plany są ambitne: kolejne, bardziej zaawansowane wersje Bielika, w tym wersja wielojęzyczna, a także narzędzia do wykrywania zagrożeń, mowy nienawiści i podobnych zjawisk. To naprawdę bardzo ciekawy kierunek.

Panie profesorze, oglądając pana we wspomnianym filmie usłyszałam, jak powiedział pan, że nadchodzą takie czasy, które będą bardzo sprzyjać temu, by warto było w Polsce pracować i inwestować. Co temu sprzyja akurat teraz?

Przede wszystkim to, że sztuczna inteligencja stwarza dziś bardzo duże możliwości. I nie chodzi o wizję, że nagle pojawi się jakaś superinteligencja AGI, która wszystko za nas załatwi. Raczej o coś odwrotnego: o bardzo konkretne, lokalne zastosowania. Kiedy rozmawiam z firmami, słyszę przede wszystkim: zależy nam na prywatności, na tym, żeby dane nie wyciekały, żeby uniezależnić się od chmury, nie chcemy opierać się wyłącznie na wielkich zewnętrznych systemach. Stąd m.in. konkurs firmy Dell, o którym wspominałem. Dziś można kupić superkomputer, który pozwala realizować projekty oparte na modelach językowych mających nawet 200 miliardów parametrów. To już są duże modele. Nasze mają zwykle mniej niż 100 miliardów parametrów, ale dzięki lokalnej mocy obliczeniowej można realizować mnóstwo projektów na miejscu. Poza Bielikiem i PLluM-em rozwija się zresztą kilka innych inicjatyw. Jest np. QRA, tworzona przez Politechnikę Gdańską we współpracy z Ośrodkiem Przetwarzania Informacji Państwowym Instytutem Badawczym. Jest też TRURL, rozwijany przez VoiceLab.ai, z nimi również współpracowaliśmy. Działa także Polska Platforma Głosowa dla Biznesu i Administracji. Liczyliśmy również na powstanie tzw. fabryk AI, czyli infrastruktury, która pozwalałaby trenować duże systemy i szeroko je udostępniać. To mogłoby wesprzeć wiele sektorów: od energetyki i prawa po biznes i medycynę. Szczególnie liczyliśmy na większe projekty wspierające instytucje medyczne, także w zakresie zbierania i analizy danych. To jednak idzie dość wolno. Problemem są m.in. gwałtowne wzrosty cen pamięci. Do tego stopnia, że część projektów może być zagrożona. Wynegocjowaliśmy dobre ceny, ale zanim ruszyły procedury przetargowe na uniwersytecie, ceny wzro-

eprasa.pl 25b49663e2

sły tak bardzo, że dziś możemy kupić jedną piątą tego, co planowaliśmy.

Od 36 lat zajmuje się pan sztuczną inteligencją. Co dziś najbardziej pana zadziwia w jej rozwoju?
Wszystkich zadziwia to, jak szybko wszystko rozwinęło się w ostatnich kilku latach. Przez długi czas postęp był bardziej stopniowy; mieliśmy systemy ekspertowe, które do pewnych rzeczy się nadawały. Ale nagłe pojawienie się systemu, z którym można było po prostu rozmawiać, mam na myśli rozwiniętego czata, powiedzmy od wersji GPT-3 wzwyż, i to, że projekty zaczęły być błyskawicznie upowszechniane, było naprawdę zaskakujące. Bardzo szybko okazało się, że jeden czat OpenAI ma setki milionów użytkowników, a dziś skala tygodniowa sięga miliarda; do tego dochodzi kilka innych konkurencyjnych systemów: Gemini, Claude, Grok, Perplexity, Llama, Mistral, DeepSeek. Krótko mówiąc: stało się to masowe. Ludzie zaczęli używać modeli językowych w tak różnych zastosowaniach, że to było zupełnym zaskoczeniem. Po pierwsze, nie spodziewaliśmy się, że można osiągnąć aż tyle, w szczególności, że de facto zostanie przekroczona granica kojarzona z testem Turinga. Przez lata opowiadałem studentom na wykładach o Nagrodzie Loebnera, że co roku jest trochę lepiej, ale wciąż ludzie potrafią odróżnić rozmowę z człowiekiem od rozmowy z botem. I nagle, właściwie po cichu, test Turinga przestał być centralnym punktem odniesienia, bo okazało się, że ludzie bardzo często dają się nabrać i sam test stracił dawny sens. Druga rzecz: mniej więcej od półtora roku zaczęły się pojawiać systemy rozumujące w szerokich obszarach, nie tylko w szachach czy w Go, gdzie poziom nadludzki osiągnięto już około dekady temu, ale znacznie szerzej. Nagle okazało się, że jesteśmy w stanie dochodzić do wyników ponadludzkich w wielu dziedzinach. Są też problemy, które po prostu przekraczają możliwości ludzkiego umysłu, jeśli chodzi o ogarnięcie całej złożoności. Na przykład zrozumienie tego, co dzieje się w komórce, gdzie tysiące białek oddziałują ze sobą i współpracują. Procesy biologiczne są tak złożone, liczba typów białek, genów, zależności tak skomplikowane, że bez sztucznej inteligencji daleko byśmy nie zaszli. Widzimy też, że pojawiły się Nagrody Nobla związane z rozwojem sztucznej inteligencji i jej zastosowaniami, z konieczności w fizyce i chemii niż w samej informatyce, gdzie Nagrody Nobla nie można dostać. To również pokazuje skalę zmiany. To, że zaszliśmy tak szybko tak daleko i że dziś mówimy o szansie rozwiązywania najbardziej złożonych problemów matematyki, fizyki, chemii, biologii czy medycyny dzięki takim systemom, to jest dla mnie najbardziej fascynujące. Zresztą organizujemy panel dyskusyjny z Piotrem Sankowskim, Przemkiem Kazienką, Przemkiem Bieckiem i matematykiem Bartoszem Naskręckim. Będziemy rozmawiać o tym, jak nauka zmienia się już teraz pod wpływem AI i jak jeszcze się zmieni.

To jak zmieni się nasza rzeczywistość w perspektywie dwóch-pięciu lat? Jedni straszą, że AI zabierze pracę, inni mówią, że stworzy nowe zawody. Co zabierze, co da i jak praktycznie zmieni nasze życie?
Bardzo trudno odpowiedzieć na to pytanie, bo świetni eksperci mówią rzeczy skrajnie różne. Jedni twierdzą, że AI zabierze nam pracę, inni, że właśnie dzięki niej wejdziemy w bardzo dobry okres, bo dostaniemy narzędzia do rozwiązywania problemów, z którymi sami sobie nie radzimy. Ja obserwuję np. zwolnienia w dużych firmach informatycznych. Cotygodniowe raporty pokazują, że w ostatnim roku niewiele się zmieniło względem poprzednich lat. Była duża korekta po COVID-zie; wtedy firmy zatrudniły zbyt wiele osób, a później część zwolniły, ale od dwóch-trzech lat sytuacja jest dość stabilna. To ciekawe, bo jednocześnie wiele osób uważa, że młodzi programiści zaraz staną się mniej potrzebni, skoro mamy programowanie wspomagane przez AI, tzw. vibe coding. Tyle że teraz piłka jest po naszej stronie: musimy tak kształcić młodych ludzi, by umieli korzystać z tych narzędzi i robić dzięki nim więcej. Jeśli będą do tego przygotowani, nadal będą potrzebni. Możliwości zastosowania systemów informatycznych szybko rosną i pojawiają się nowe obszary pracy. Owszem, prostsze zadania, np. część prac przy tworzeniu stron internetowych, można dziś zautomatyzować. Ale człowiek wciąż jest potrzebny do zrozumienia rzeczywistego problemu klienta, kontekstu i celu. Można powiedzieć, że powoli przestajemy być murarzami, a stajemy się architektami tych rozwiązań. Architektów potrzeba mniej niż murarzy, ale dzięki nim można zbudować znacznie więcej. Dlatego nie widzę powodu do paniki w skali, w jakiej niektórzy ją dziś podsycają. Zagrożenia oczywiście są realne i jest ich sporo, ale nad ich rozpoznawaniem i ograniczaniem również się pracuje.

Film „Poland. Mission Confidence" powstał po to, by zmienić sposób, w jaki Polacy myślą o sobie i o Polsce. Jak pan to widzi? Czy takie projekty, o których pan mówił na początku rozmowy, mogą być impulsem do zmiany naszego myślenia o kraju, który jest przecież dwudziestą gospodarką świata i mówiąc wprost, ma się czym pochwalić?
Mamy w Polsce duże słabości, bez wątpienia. Widać to choćby w różnych wskaźnikach dotyczących innowacyjności, patentów i podobnych obszarów. Z drugiej strony mamy też bardzo zdolnych ludzi, którzy potrafią robić rzeczy niezwykłe. Część z nich, niestety, pracuje za granicą — w dużych firmach, takich jak OpenAI czy Google DeepMind, a nawet współtworzyła niektóre z tych środowisk. Świetną pracę wykonuje dr Maciej Kawecki ze swoim zespołem i podcastami, pokazującymi, że Polak potrafi. Problem w tym, że te możliwości dość słabo przekładają się na sprawczość administracji państwowej. Ona jest ograniczona na wiele sposobów i po prostu zbyt wolna. Gdybyśmy nie stracili pół roku na biurokrację i przetargi, moglibyśmy kupić za pieniądze, które były już zabezpieczone, całkiem przyzwoity system, bardzo nam potrzebny. Tymczasem świat tak przyspieszył, a popyt na sprzęt i pamięci tak wzrósł, że ceny poszybowały w górę. To pewnie potrwa rok albo dwa, ale skutek jest taki, że jesteśmy opóźnieni.

Problemem nie jest tylko brak pomysłów, ale tempo działania państwa?
Dokładnie. Próbowaliśmy o tym rozmawiać z Ministerstwem Cyfryzacji. Zaprosił nas nawet premier Donald Tusk, jako grupę informatyków działających w komitecie, w którym są osoby z tzw. listy Stanforda 2 proc., czyli grona najczęściej cytowanych naukowców na świecie. Tyle że rząd zdążył już wcześniej rozdysponować środki. I kiedy mówimy, czego naprawdę potrzeba, na przykład dobrych programów doktorskich, to okazuje się, że trudno teraz znaleźć na to pieniądze. Być może pojawią się w kolejnym rozdaniu środków europejskich, ale znów jesteśmy spóźnieni. W 2018 roku, po apelu Komisji Europejskiej, że AI to technologia strategiczna, wiele krajów bardzo przyspieszyło: tworzono katedry, finansowano zespoły, budowano zaplecze. U nas zrobiono za mało. Straciliśmy poprzednie lata, a w ostatnich dwóch również nie widać przełomu na miarę potrzeb, choć oczywiście sporo rzeczy dzieje się oddolnie. To mnie naprawdę martwi.

Bez zmiany filozofii finansowania trudno będzie zrobić skok?
Tak i to dotyczy również edukacji. Słyszymy o pracowniach AI w szkołach, na które wydaje się duże pieniądze, ale nie widać dobrze opracowanych programów, które pokazywałyby, jak sensownie wykorzystywać te narzędzia na lekcjach różnych przedmiotów. A możliwości są ogromne. Na przykład bardzo dynamicznie rozwija się dziś historia cyfrowa; dzieją się tam naprawdę ciekawe rzeczy, o których wielu nauczycieli i historyków nawet nie wie. I znowu wracamy do tego samego problemu: brakuje ludzi przygotowanych do tego, żeby to ruszyć, przeszkolić nauczycieli, stworzyć materiały, wdrożyć dobre praktyki. W wielu obszarach mamy więc nie tyle brak pomysłów, ile brak kadr zdolnych to popchnąć do przodu.

Ten problem widać też na poziomie uczelni?
Oczywiście. Chińczycy przez lata wysyłali mnóstwo studentów do Stanów Zjednoczonych, a potem ci ludzie wracali i rozkręcali rynek u siebie. Podobnie obserwowałem Portugalię: kraj mniejszy od Polski i pod wieloma względami słabszy, a jednak w tym obszarze rozwija się całkiem dobrze, bo wykonano pewne inwestycje i zbudowano kompetencje. Miałem niedawno okazję otwierać rok akademicki w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy i pytałem tam, czy uczą np. takich rzeczy jak muzyka filmowa i zastosowania sztucznej inteligencji w sztuce. Muzyka filmowa to dziś jeden z kluczowych obszarów; produkcja opiera się na zaawansowanych narzędziach elektronicznych, a ich opanowanie wymaga czasu i dobrego wprowadzenia. Tyle że znów wracamy do tego samego: brakuje nauczycieli. Uczelnie często chciałyby rozwijać takie kierunki, ale nie mają kogo do tego postawić. To, co AI robi dziś w obszarze kreatywności artystycznej, muzycznej, wizualnej, ma już konkretne zastosowania rynkowe. Można na tym zarabiać. Do tego dochodzi branża gier, która rozwija się bardzo dobrze, i tam AI wchodzi na dużą skalę. Mieliśmy niedawno w Poznaniu dużą konferencję gamedev, rozwoju gier komputerowych, i było wyraźnie widać, jak wiele jest zastosowań AI do wspomagania tworzenia i rozwoju gier. To się właśnie zaczyna dziać na szeroką skalę. Krótko mówiąc: możemy mieć szansę w różnych niszowych zastosowaniach, a takich nisz jest bardzo dużo. Duże firmy chcą nam sprzedać własnego awatara czy asystenta, który będzie w każdym telefonie, dlatego budują ogromne centra danych i centra AI do obsługi miliardów użytkowników. Tylko pytanie brzmi: czy my naprawdę tego chcemy?

Wyobraźmy sobie, że jest grudzień 2029 roku, za chwilę wchodzimy w rok 2030. W jakiej jesteśmy sytuacji? Czy potrafi pan sobie wyobrazić, jak zmienił się nasz telefon, nasza praca, urząd, szkoła?
W 2000 roku przygotowałem taki referat futurologiczny i napisałem, że w połowie tej dekady będzie nam brakowało psychologów od modeli sztucznej inteligencji. I mam wrażenie, że taki zawód właśnie zaczyna się pojawiać. Psychologowie rzeczywiście badają dziś różne aspekty działania dużych modeli językowych, bo dzieją się tam bardzo ciekawe, a czasem dziwne rzeczy. To, co zacznie się teraz i co w tym roku już zobaczymy, to przede wszystkim inwazja agentów różnego rodzaju. Czyli systemów, które nie tylko odpowiadają na pytania, ale są sprawcze. Możemy im zlecać wykonanie konkretnych zadań po prostu rozmawiając. Ogromne znaczenie będzie miało to, kto nauczy się dobrze z nimi rozmawiać: zadawać precyzyjne pytania, jasno określać kontekst, formułować polecenia. Oczywiście same systemy też będą nas coraz częściej dopytywać, żeby lepiej zrozumieć, o co chodzi. Ale najważniejsze jest to, że w ciągu najbliższych miesięcy zobaczymy agentów, którzy będą w stanie załatwiać za nas naprawdę wiele spraw. Z tym trzeba być bardzo ostrożnym, ale ich sprawczość będzie rosła. Pojawiają się nawet rozwiązania w rodzaju „wynajmij człowieka dla agenta". Są platformy, do których zgłosiły się setki tysięcy osób gotowych wykonywać zadania, których agent, dopóki nie ma fizycznego ucieleśnienia, nie jest robotem, jeszcze nie potrafi sam zrobić. Bo czasem trzeba gdzieś pójść, coś odebrać, załatwić dokument, zdobyć papier z urzędu, który nie jest jeszcze dobrze zinformatyzowany. W Polsce nadal są obszary administracji czy sądownictwa, które nie działają cyfrowo w takim stopniu, jakiego byśmy oczekiwali. Pojawiają się więc firmy, które mówią: dobrze, damy państwu sprawczą sztuczną inteligencję, ale tam, gdzie są luki, będziemy dopinać proces człowiekiem.

A więc jednak, na szczęście, człowiek pozostaje niezbędny.
Choć często w roli bardziej wykonawczej niż zarządzającej. Oczywiście po drugiej stronie nadal jest też człowiek, który takim agentem zarządza albo go nadzoruje. Ale ten model agent plus człowiek tam, gdzie trzeba, będzie się rozwijał na dużą skalę. Nasz telefon nie będzie już tylko doradzał. Coraz częściej będzie też w stanie, na podstawie naszych poleceń, doprowadzać do wykonania różnych rzeczy także w świecie fizycznym.

Wchodzimy w etap, w którym AI zacznie wychodzić z ekranu?
Dokładnie. Bardzo szybko rozwija się robotyka. Było to widać choćby przy ostatnich pokazach związanych z Chińskim Nowym Rokiem. Mieliśmy też niedawno spotkanie poświęcone AI, podczas którego oglądaliśmy kilka robotów; przyjechały m.in. z Nowego Sącza, z Rzeszowa, z Politechniki Rzeszowskiej. To naprawdę zaczyna się rozwijać. Te roboty nie są już skrajnie drogie, choć oczywiście nadal kosztują sporo. Bardziej zaawansowane modele to duży wydatek. Ale sam fakt, że stają się dostępne, jest bardzo istotny. Zaczyna się era tego, co można nazwać fizyczną implementacją sztucznej inteligencji, czyli wykorzystaniem AI na większą skalę w urządzeniach fizycznych. I to będziemy widzieć coraz wyraźniej.

A co to będzie oznaczało dla zwykłych użytkowników?
Między innymi to, że pojawi się cała fala nowych urządzeń konsumenckich. Słychać już, że z Chin nadchodzi seria zabawek wyposażonych w modele językowe. I tu pojawia się sporo zagrożeń. Musimy bardzo uważać, co takie systemy będą z nami robiły i czy będziemy wystarczająco asertywni, żeby nie ulegać różnym formom manipulacji, które mogą pojawić się na dużą skalę. To będzie jeden z najważniejszych problemów najbliższych lat: nie tylko, co AI potrafi, ale też jak my jako użytkownicy i społeczeństwo, nauczymy się z nią mądrze obchodzić.

CV

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Włodzisław Duch
Profesor nauk fizycznych specjalizujący się w informatyce stosowanej, neuroinformatyce, sztucznej inteligencji, uczeniu maszynowym, kognitywistyce i neurokognitywnych technologiach. Jest kierownikiem Laboratorium Neurokognitywnego w Interdyscyplinarnym Centrum Nowoczesnych Technologii UMK w Toruniu.

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, z 31 nagrodami w międzynarodowym konkursie European Newspaper Award

Jury najważniejszego europejskiego konkursu grafiki European Newspaper Award ponownie doceniło prace Tomasza Bocheńskiego, dyrektora artystycznego Polska Press Grupy. W 27. edycji konkursu otrzymał 31 nagród w kilku kategoriach. European Newspaper Award to najbardziej prestiżowa nagroda graficzna branży medialnej w Europie. Tomasz Bocheński po raz kolejny znalazł się wśród jej laureatów, rok temu jury uhonorowało 19 jego prac.

W tym roku międzynarodowe jury otrzymało kilka tysięcy prac z 22 krajów Europy. Spośród nich 11-osobowe międzynarodowe jury wyłoniło zwycięzców.

Laureatem po raz kolejny został Tomasz Bocheński, dyrektor artystyczny Polska Press Grupy, nagrodzono 31 jego prac, w tym okładki w m.in. kategoriach wydarzeniowych: 80 rocznica zakończenia II wojny światowej, czy wybór papieża.

W jury konkursu zasiadali dziennikarze, naukowcy i dyrektorzy artystyczni z Austrii, Szwecji, Danii, Finlandii, Holandii, Portugalii, Szwajcarii i Niemiec. Docenili prace Tomasza Bocheńskiego tworzone dla „Głosu Wielkopolskiego", „Dziennika Łódzkiego", „Dziennika Zachodniego", „NTO" oraz „Polski Metropolii Warszawskiej", a także wiele okładek magazynu Puls, który w każdy piątek ukazuje się we wszystkich tytułach Polska Press Grupy.

- Polska Press to duża firma multimedialna z najważniejszymi serwisami internetowymi w największych polskich miastach. Na tym koncentrujemy naszą działalność. Ale nasze brandy to brandy historyczne, najbardziej prestiżowe w regionach, które swoją wartość budują od kilkudziesięciu lat, a zaczynały w papierze. Wciąż wydajemy gazety codzienne w regionach, bo wciąż są Czytelnicy, który cenią sobie taką formę przekazywania treści. I dla nich zachowujemy najwyższa jakość - także graficzną. Tomasz Bocheński, nasz dyrektor artystyczny, to znakomity symbol połączenia tradycji z innowacjami. Wygrywa konkursy na okładki prasowe, ale jednocześnie na graficzne rozwiązania multimedialne. Taka jest właśnie Polska Press - mówi Marek Twaróg, redaktor naczelny Polska Press Grupy.

Tomasz Bocheński kreuje i współtworzy projekty graficzne gazet, projekty prasowe, projekty online od wielu lat. Wielokrotnie zdobywał najbardziej prestiżowe nagrody w konkursach w Polsce i na świecie, zarówno za prace związane z prasą, jak i projektami internetowymi. W dorobku ma kilkadziesiąt nagród m.in. Grand-Front oraz Chimera Grand Prix, a także zwyciężał w konkursach międzynarodowych: European Newspaper Award oraz Best of News Design - The Society for News Design w USA.

- Istotą dobrej okładki prasowej nie jest to, żeby ładnie wyglądała. W moich pracach istotą jest symbolika - czysta, mocna i uniwersalna. Taka, która pozwala Czytelnikowi odczytać całe znaczenie w ułamku sekundy, jeszcze zanim w ogóle otworzy pismo. Bardzo często nie używam na okładce prawie żadnego tekstu - czasami ani jednego słowa. Daję Czytelnikowi obraz, kolor, metaforę i gest. Daję mu znak. A on sam już wie, o co chodzi. Czuje to. Rozumie to. To właśnie uwielbiam w sile grafiki prasowej: potrafić powiedzieć wszystko, nie mówiąc nic - mówi laureat.

European Newspaper Award to najważniejsza w Europie nagroda, przyznawana od 1998 roku artystom i grafikom z branży medialnej.

European Newspaper Award
NEWSPAPER DESIGN · CONCEPT

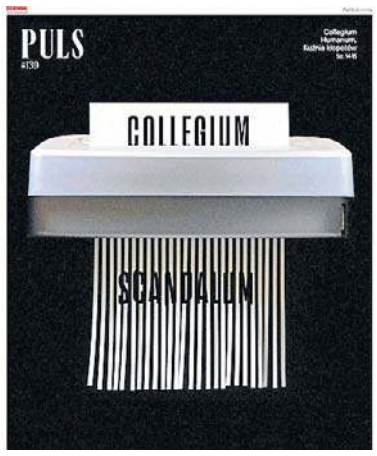

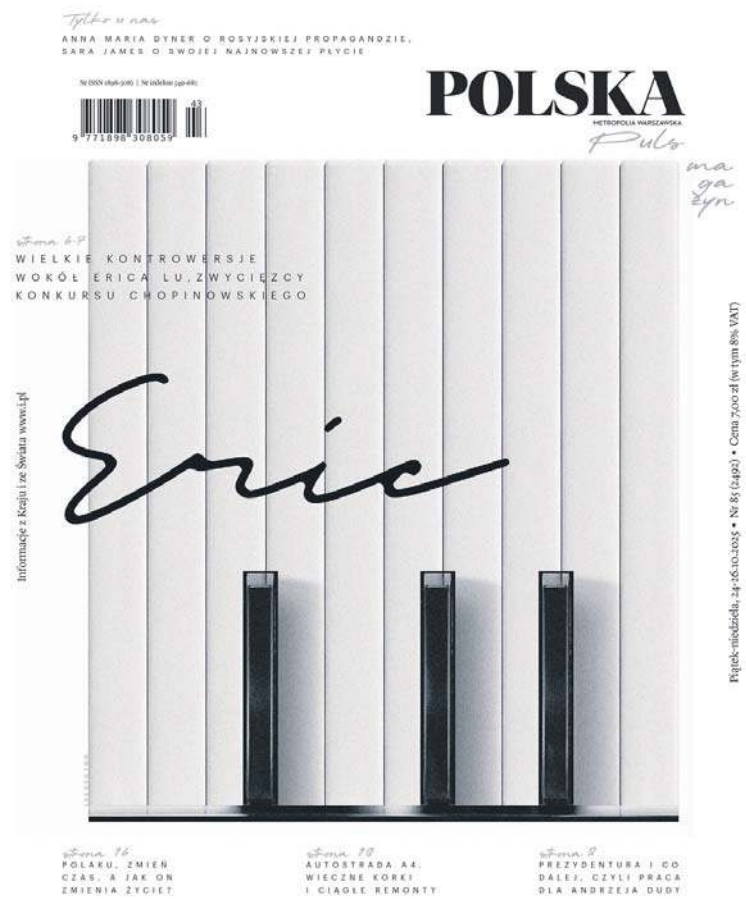

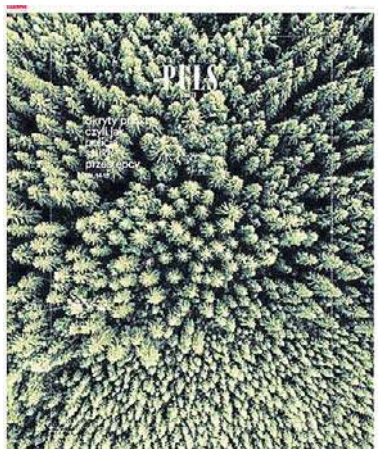

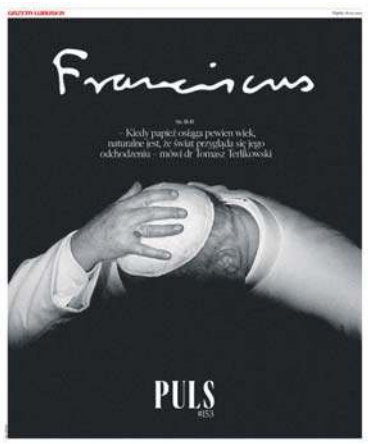

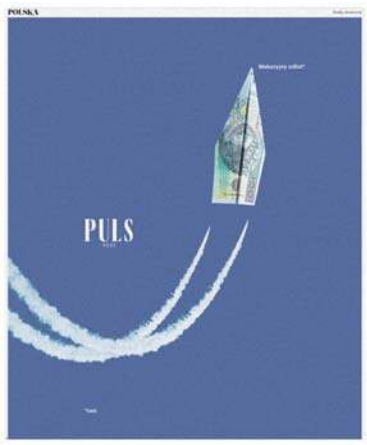

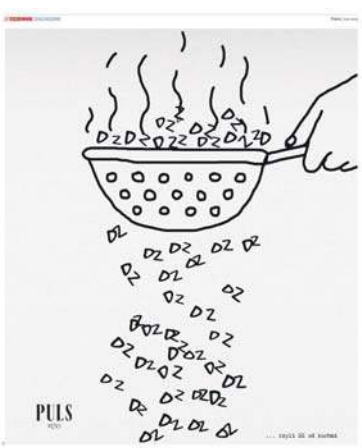

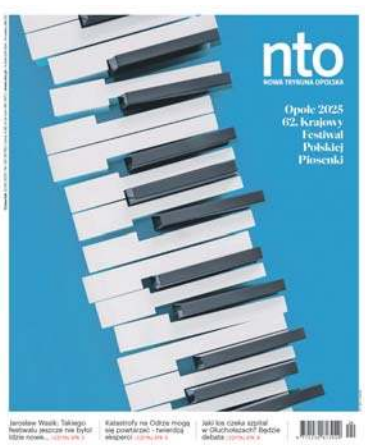

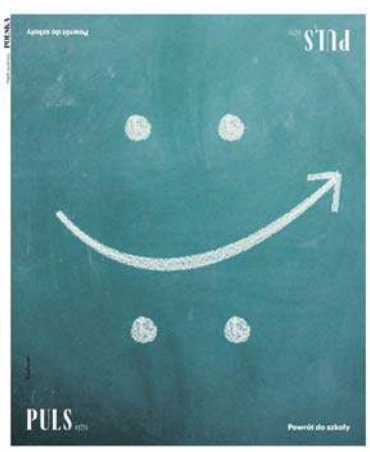

eprasa.pl 25b49663e2

REKLAMA 0011482174

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

WZÓR, GENY, A MOŻE PO PROSTU NATURA, CZYLI ZMĘCZENI ZIMĄ

To był długi, mroźny i śnieżny czas, właściwie nie - był, bo zima wciąż jeszcze trwa. Wielu z nas czuje się już zmęczonych krótkim dniem, niskimi temperaturami, zaspami, ślizgawicą. Niektórzy mówią o depresji, ale SAD (seasonal affective dis order), czyli sezonowa choroba afektywna naprawdę istnieje. Dlatego z taką niecierpliwością wyczekujemy wiosny

Dorota Kowalska

Marta w ostatni poniedziałek wstała rano, wyszła przed dom, żeby wsiąść do swojej małej Micry i ruszyć do pracy. Poczuła na twarzy krople deszczu i ucieszyła się.

- Naprawdę! To był taki ciepły, wiosenny deszcz - mówi.

Ma już dość zimy. Nawet nie śniegu i mrozu, jako rocznik 67. doskonale pamięta takie zimy z dzieciństwa, więc nawet ucieszyła się, że jest jak dawniej, ale nie może już znieść tej ciemnicy, tego smutku, tego wszechogarniającego poczucia beznadziei.

- Nienawidzę tego: wstaję do pracy - ciemno, wracam po pracy do domu - ciemno. Krótkie dni, długie noce. Cały czas w czterech ścianach - tłumaczy.

Ma dom z ogródkiem nieopodal lotniska w Pyrzowicach, niewielka miejscowość, wszyscy się znają. Wiosną, latem, nawet jesienią, większą część dnia spędzają na zewnątrz, bo koło domu, wiadomo, zawsze jest coś do roboty. A to kwiaty sadzi, a to chwasty wyrywa, coś posprząta, mąż majsterkuje w garażu. Przyjdzie sąsiadka, pogadają, przybiegną wnuki, pójdzie z nimi do pobliskiego lasu.

- Inna rzecz, że tę zimę przechorowałam. Trzy poważne infekcje, do tego atak rwy kulszowej, w sumie z miesiąc siedziałam w domu, bo nawet jak świeciło słońce, leżałam pod kocem i próbowałam dojść do siebie. Bardzo chciałam, żeby się to wszystko już skończyło - przyznaje.

Więc kiedy w poniedziałek wsiadała do samochodu, pomyślała sobie, że idzie ku dobremu, że za chwilę przyjdzie wiosna i znowu będzie się chciało żyć.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Roztopy w tym roku były wyjątkowo ponure, bo i śniegu sporo napadało. I było naprawdę ślisko

Polacy zimy nie lubią. Z badań wynika, że w kategorii „ulubiona pora roku Polaków" zdecydowanie wygrywa lato - wskazuje na nie aż 51 proc. badanych. Na drugim miejscu znajduje się wiosna, którą najbardziej lubi 33 proc. z nas. Jesień i zima mają po 5 proc. wskazań. 6 proc. badanych wybiera odpowiedź „trudno powiedzieć".

Inna rzecz, że tegoroczna zima zaskoczyła. Początek roku przyniósł opady śniegu i temperatury, jakich nie doświadczaliśmy od kilkunastu lat. Dziś wiadomo, że styczeń dawno nie był tak mroźny. Potwierdzają to nie tylko subiektywne odczucia, ale i pomiary meteorologów.

Według danych Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, anomalia temperatury powietrza od początku stycznia 2026 roku była mocno ujemna dla całej Polski. Krótko mówiąc: pierwszy miesiąc 2026 roku był zdecydowanie chłodniejszy, niż w latach poprzednich, a do tego śnieżny. Wiele miejscowości już pod koniec zeszłego roku, z powodu padającego śniegu, zostało niemal odciętych od świata.

W lutym wcale nie było lepiej. Doszło do tego, że w rejonie Chłopów Bałtyk zaczął zamarzać. Przy brzegu pojawiły się połacie lodu, a fale niosły ze sobą kry lodowe. Niemal arktyczne widoki. Turyści tłumnie ruszyli także w okolice Mierzei Wiślanej, by podziwiać olbrzymie torosy, ale prawdziwą sensacją była zamarznięta Motława w Gdańsku. Niektórzy pokusili się, by pojeździć po skutej lodem rzece na łyżwach albo urządzić sobie po niej spacer. To był 3 lutego, słupki rtęci tego dnia w Warszawie pokazywały minus 21 st. C, w Trójmieście było zaledwie kilka stopni więcej.

Potem zrobiło się cieplej, spadł deszcz i w niemal całej Polsce pojawiła się gołoledź. Nie po raz pierwszy zresztą, w ostatnim tygodniu stycznia marznące opady deszczu sprawiły, że w części szkół, zwłaszcza północnej Polski, odwołano lekcje, a z powodu oblodzenia sieci trakcyjnej mnóstwo pociągów nie ruszyło w trasę, inne miały kilkugodzinne opóźnienia.

Zimowa depresja

Dwa śnieżne i mroźne miesiące. Co niektórzy mają dość, są po prostu zimą zmęczeni. Jedno z forów internetowych

Internauta1: „Trzeba utopić jakąś Marzannę, żeby sobie poszła? Już starczy tych mrozów, śniegów i lodu. A sio! Miało być ocieplenie. Czekam na tradycyjną z ostatnich lat zimę 5-10 stopni na plusie i 20 stopni w marcu a 30 w kwietniu. I na słoneczko. Pozdrawiam".

Internauta 2: „Moje dzieci dziękują za mróz i śnieg".

Internauta3: „Żadnych sportów zimowych (narty, łyżwy, sanki...), żadnego lepienia bałwana i orła w śniegu? Nic kompletnie z tego nie lubią, naprawdę? Wierzę, jeśli tak piszesz, ale to pierwsze takie przypadki, wszystkie dzieci które znam lubią lekki mróz i śnieg. Zdecydowanie bardziej niż deszcz, kałuże, błoto i 5 st. C, gdy nie ma co robić na dworzu (to znaczy pewnie by było - taplanie się w tym błocie, ale na to już zwykle rodzice nerwów nie mają".

Internauta4: „Nie pamiętam, kiedy było ciepło i słonecznie. Naprawdę idzie dostać jakieś depresji. Ciągle ciemno, brzydko szaro. Czy tylko mi to przeszkadza? Mam taką naturę, że w momencie, kiedy robi się słonecznie, jestem żywszy, mam więcej chęci do czegokolwiek. W taką pogodę za oknem nie chce mi się dosłownie nic. A co jest najgorsze, najgorsze jest to, że nawet jak przyjdzie wiosna, to pewnie prawdziwie ciepło zrobi się w maju. W maju i czerwcu będziemy mieli trochę ciepła. By już w lipcu mieć pochmurne lato, a w sierpniu odczuwać nadchodzącą jesień. Ciężkie to życie w tym kraju".

Internauta5: „Ja tęsknię za wiosną. Na szczęście już od jakiegoś czasu mamy coraz dłuższy dzień, więc to mi poprawia samopoczucie. Oczywiście najpierw trzeba przeczekać całe to zimno i potem połazić po błocie".

Ewa, niewiele ponad 40 lat, czynna zawodowo. Całą sobą nie cierpi zimy.

- Nic mi się nie chce, wszystko widzę w czarnych kolorach, wszystko mnie drażni - mówi.

Choćby to ciągłe ubieranie i zdejmowanie czapek, szalików, ciepłych kurtek, to drapanie szyb w samochodzie, ta brudna od zabłoconych buciorów podłoga, ta ciemnica za oknem.

- W tym roku był śnieg, był mróz, było fajnie. Ale jak długo może być mróz? I to taki, że nie można wyjść z domu. Tydzień, dwa, no trzy. Ale dwa miesiące? - pyta retorycznie.

I dodaje, że jak już zrobiło się cieplej, to można się było zabić. Po jej dzielnicy nie dało się chodzić. Przez kilka dni ludzie do sklepów maszerowali jezdnią i nawet kierowcy na nich nie trąbili, bo na chodnikach zalegała kilkucentymetrowa warstwa lodu, dosłownie „szklanka".

- Gdzie nie zadzwonię, słyszę: „Ewa, ja chyba mam depresje, nic mi się nie chce", więc nie jestem w tych odczuciach taka osamotniona - argumentuje. I dodaje, że chyba najgorsze już za nami, że ma być cieplutko, że już bez śniegów i mrozów, przynajmniej w najbliższe dni.

Zimowa depresja naprawdę istnieje. Fachowo - SAD, czyli seasonal affective disorder (sezonowa choroba afektywna). Sezonowo, konkretnie w czasie jesieni i zimy, u wielu z nas pojawiają się zachowania, które rozpoznaje się w zaburzeniach nastroju. Jesteśmy apatyczni, bez powodu smutni, mamy problemy ze snem, trudniej nam się skupić, czy zapamiętywać. Unikamy znajomych, nie chodzimy do kina, ciężko nas wyciągnąć na spacer. Czasami towarzyszą temu dolegliwości somatyczne: bóle kręgosłupa, głowy, zaburzenia jelitowe, suchość śluzówek, brak apetytu lub wzrost apetytu, nasilenie objawów zespołu napięcia przedmiesiączkowego i inne.

I właściwie jest nam gorzej niż było jeszcze latem i wiosną, ale tak naprawdę od dawna nie jest dobrze: wojna w Ukrainie, wcześniej jeszcze pandemia, niepewna sytuacja na świecie, polityczne boje dużego pałacu z małym, rządu z opozycją, troska o to, co w naszych portfelach. Jest o czym myśleć i czym się stresować.

- Żyjemy w bardzo dużym napięciu, w bardzo dużym stresie od kilku lat i wracając troszeczkę do genezy, do przyczyny depresji - nasze układy nerwowe, po pierwsze - nie są przyzwyczajone do takich obciążeń, po drugie - trochę funkcjonują tak, jakby człowiek doświadczał takiego stresu parę tysięcy lat temu. Tak naprawdę jesteśmy przystosowani do radzenia sobie z krótkotrwałym intensywnym stresem, który dość szybko mija. Dzieje się coś trudnego, denerwujemy się, ale też ten stres jest napięciem, które pomaga nam mobilizować organizm do obrony, ucieczki, schowania się. Po pewnym czasie sytuacja mija. Natomiast my funkcjonujemy od kilku lat w ciągłym napięciu - tłumaczyła mi psycholog Maria Rotkiel.

Nasz organizm nie jest do tego przystosowany. Do tego jeszcze to - zima, krótkie dni, szarówka za oknami, ciągły brak słońca. Nic nam się nie chce, najchętniej weszlibyśmy pod kocyk i przeczekali ten ciężki czas. Jak tłumaczą psychologowie, te zmiany nastroju wynikają także z naszej fizjologii, trochę tak mamy, szczególnie w naszej strefie klimatycznej, że przysypiamy na jesień i zimę. To odpowiedź naszego organizmu na to, co za oknem.

Ten stan da się zresztą medycznie wytłumaczyć, jest związany z funkcjonowaniem szy-

eprasa.pl 25b49663e2

szynki, która wytwarza melatoninę – a więc hormon snu. W nocy poziom melatoniny jest zawsze najwyższy, dlatego też stajemy się senni, zmęczeni, a organizm przestawia się na wypoczynek. Jest to nasz naturalny, dobowy rytm snu i czuwania.

Podstawowym czynnikiem regulującym ilość melatoniny jest to, ile światła dociera przez oko do mózgu. Jeśli jest go więcej choćby latem - szyszynka wydziela mniej melatoniny, a gdy jest go zbyt mało jak zimą - więcej. Jesteśmy wtedy ociężali, apatyczni i niczego nam się nie chce.

Tylko problem w tym, jak odróżnić takie sezonowe wahnięcie nastroju od depresji, która, jak twierdzą eksperci, jest już dzisiaj najpoważniejszym problemem społecznym na świecie.

- Pierwsza wskazówka jest taka, że przy sezonowym obniżeniu nastroju i w ogóle przy obniżeniu nastroju jesteśmy jeszcze w miarę podatni na nasze sprawdzone sposoby na poprawianie humoru. Jeżeli spotkam się z przyjaciółmi i to poprawi mi humor, jeżeli sprawię sobie jakąś przyjemność i to poprawi mi humor, jeżeli przez weekend odpocznę i to poprawi mi humor, to jest ogromna szansa, że mówimy o obniżeniu nastroju, które jest też bardzo wrażliwe na czynniki zewnętrzne. Krótko mówiąc - mam gorszy dzień, czuję się gorzej, ale kiedy mam lepszy dzień, czuję się lepiej. Kiedy wyjdzie słonko, ktoś się do mnie uśmiechnie, wcześniej wyjdę z pracy, zjemy dobry obiad, to mój nastrój się poprawi – wtedy mamy do czynienia z sezonowym obniżeniem nastroju tłumaczy Maria Rotkiel.

Depresja, niestety, jest zaburzeniem nastroju i chorobą na tyle poważną, że takie prozaiczne sposoby na poprawianie samopoczucia nie zadziałają. Osoba z depresją nie będzie się czuła lepiej, kiedy zaświeci słońce, pewnie nawet go nie zauważy.

FOT. CC

Na przednówku było źle również naszym przodkom. No chyba że przyleciały bociany, jak na obrazie Gierymskiego

Rzeczywistość i mity

Może stąd pojawiło się pojęcie Blue Monday, czyli najbardziej depresyjnego dnia w roku, który przypada nie kiedy indziej, a w samym środku zimy, konkretnie w trzeci poniedziałek stycznia. Tyle że ponoć słynny Blue Monday nie istnieje. To mit, naukowcy dodają: szkodliwy.

Ale po kolei: w 2004 roku do Cliffa Arnalla, wówczas prowadzącego wieczorne zajęcia z psychologii na Uniwersytecie Cardiff, zgłosiła się firma PR-owa, która na polecenie biura podróży Sky Travel, poprosiła Arnalla, by pomógł obliczyć, przynajmniej tak to rozumiał, „najlepszy dzień na rezerwację/kupno wycieczki".

Arnall wziął się do pracy, stworzył pseudonaukowy wzór matematyczny, uwzględniający pogodę, ale też rozmaite czynniki niepoliczalne, jak „motywację" czy „potrzebę podjęcia działania". Nie było w tym jednak naukowej metodologii, sam Arnall nie spodziewał się, że jego teoria zdobędzie tak dużą popularność.

- Pierwotnie zostałem poproszony o wymyślenie czegoś, co rozumiałem jako najlepszy dzień do zarezerwowania letniej wycieczki, ale gdy zacząłem myśleć o tym, co motywuje do rezerwacji urlopu, przypominać sobie, co tysiące osób mówiły mi o zarządzaniu stresem, były czynniki wskazujące na trzeci poniedziałek stycznia jako szczególnie depresyjny... Ale wypuszczenie tego w świat nie było zbyt pomocne. Twierdzenie, że to najbardziej depresyjny dzień w roku, to niemal samospełniająca się przepowiednia - opowiadał potem w rozmowie z „The Telegraph".

Wzór użyty przez Arnalla naukowcy określają mianem „niedorzecznego", „niemającego naukowych podstaw". Zresztą sam autor przyznaje, że Blue Monday nie miał być odkryciem naukowym, a jedynie pseudonaukową zabawą służąca celom marketingowym. Nie miał też być wyliczeniem „najbardziej depresyjnego dnia w roku", jak potem ogłaszali to eksperci od marketingu, a najlepszym dniem na kupno wycieczki.

Warto przy tym dodać, że Cliff Arnall nigdy nie był pełnoprawnym wykładowcą psychologii na Cardiff University, a uczelnia swojego czasu odcięła się od teorii o Blue Monday, ale też psychiatrzy podkreślali, że teza Arnalla jest szkodliwa dla osób cierpiących na depresję. Sugeruje bowiem, że depresja jest krótkotrwała, zależna od czynników zewnętrznych, a sprawa nie jest tak oczywista i prosta.

W 2018 roku Arnall dostrzegł szkodliwość swojej zabawy, bo postanowił ruszyć z kampanią obalającą mit, który sam stworzył. Co zabawne, robił to we współpracy z liniami lotniczymi Virgin Atlantic i biurem podróży Virgin Holidays. Kampania ma z jednej strony obalać mit, a z drugiej pokazywać, że początek roku to przede wszystkim nowe możliwości w życiu.

Wojtek, 36-latek, też nie lubi zimy. Nie ma szans na takie aktywności, jak wtedy, gdy jest sucho, słonecznie i dzień trwa dłużej. Dzisiaj, kiedy przychodzi po pracy do domu, jest ciemno, a on lubi rower, wspinaczki, wyprawy w góry.

- Tej zimy z rowerem było kiepsko: za dużo śniegu, albo za ślisko. Dwa razy chodziłem po górach, ale warunki były naprawdę ciężkie - mówi.

I narzeka na to, co wszyscy; na krótki dzień, na drapanie szyb w samochodzie, na ciągle ubieranie i rozbieranie siebie i dzieciaków.

- Dodałabym do tego jeszcze brak świeżych warzyw, owoców – dorzuca Jola, żona.

Oboje dochodzą do wniosku, że może to nasze zimowe zmęczenie to geny, DNA. W końcu większość z nas ma chłopskie pochodzenie, a dawniej przednówek to był na wsiach czas nędzy i głodu, prawdziwa walka o przeżycie. Spiżarnie świeciły pustkami, ziemia nie dawała jeszcze nowych plonów, a trzeba było przecież coś jeść. Więc gotowało się lebiodę, uznawaną za chwast i dodawano ją do kaszy. Przyrządzano liście pokrzywy, ostu, powoju, rzęsy, przydawały się trawy rosnące na łąkach – mietlica, manna, a nawet perz. Może stąd przysłowia: „Na Świętego Marka nie ma co włożyć do garnka", „Kiedy starzec przeżył marzec, to będzie żył", czy wciąż aktualne: „Byle do wiosny". Mniej witamin, mniej słońca, ciężko musiało się wtedy żyć. Dzisiaj większość z nas między styczniem i kwietniem nie cierpi głodu, ale z samopoczuciem nie zawsze jest dobrze, więc może rzeczywiście jest trochę prawdy z tymi genami i naszym DNA.

Na przyszłość

W tym roku pewnie te rady już się nie przydadzą, bo wszystko wskazuje na to, że najgorszą zimę mamy za sobą, ale naukowcy dokładnie przyjrzeli się SAD i doszli do kilku wniosków.

„SAD występuje u kobiet czterokrotnie częściej niż u mężczyzn. Ma to związek z cyklicznym wydzielaniem żeńskich hormonów płciowych, estrogenu i progesteronu" – wyjaśnia w rozmowie z magazynem „Vogue" specjalistka z zakresu psychiatrii dr Natasha Bijlani. Dlatego warto przyjrzeć się swojej diecie. Zamiast sięgać po wysoko przetworzoną, bogatą w tłuszcz i cukry proste żywność, postawić na źródła węglowodanów złożonych – jeść banany, orzechy czy rośliny strączkowe, które zapobiegają drastycznym wahaniom poziomu cukru we krwi. Niekontrolowany apetyt na słodycze zwalczyć uwzględnieniem w swoim menu pełnowartościowego białka.

Dalej - suplementacja. „Przyjmowanie witaminy D w sezonie jesienno-zimowym jest absolutnie niezbędne. Należy wybrać odpowiednią do wieku, wysoką dawkę, a oprócz tego korzystać z jak największej ilości światła dziennego" – radzi dietetyczka Rosemary Ferguson. Niedobór witaminy D może mieć fatalny wpływ nie tylko na nasz nastrój, ale i ogólne funkcjonowanie organizmu, osłabia bowiem układ immunologiczny i reakcje odpornościowe, a co za tym idzie zwiększa ryzyko infekcji. Witamina D odgrywa również ważną rolę w regulacji gospodarki wapniowo-fosforanowej, wpływając na pracę układu kostnego.

Kolejną skuteczną metodą na poprawę samopoczucia jest ruch. „W przypadku sezonowego zaburzenia afektywnego wskazane jest kontynuowanie ćwiczeń, a nawet zwiększenie ich intensywności. W miarę regularne podejmowanie wysiłku aerobowego ma udokumentowany pozytywny wpływ na nastrój. Nie musisz jednak biegać, aby złagodzić objawy – możesz ćwiczyć jogę, tai chi lub medytować" – tłumaczy James McDeavitt, prof. fizykoterapii i rehabilitacji oraz dziekan ds. klinicznych w Baylor College of Medicine. „Joga fantastycznie wpływa na samopoczucie osób cierpiących na SAD. Oczyszcza umysł, zwiększa poczucie równowagi i dodaje energii" – wskazuje instruktorka jogi Genny Wilkinson Priest. Dobre na łagodzenie objawów zaburzeń depresyjnych jest także spacerowanie.

Warto też wyjść do ludzi, nawet jeśli spotkanie z przyjaciółmi jest ostatnią rzeczą, na jaką mamy ochotę. „Zaplanuj rozmowę z przyjacielem – choćby telefoniczną lub za pośrednictwem Zooma. Dzięki temu poczujesz się mniej samotny, odpędzisz negatywne myśli i nadasz strukturę swojemu harmonogramowi dnia" – radzi dr Bijlani. I dodaje, że równie dobrym pomysłem jest spędzanie wolnego czasu w otoczeniu zieleni. Uczeni z Uniwersytetu Exeter w 2019 roku przeprowadzili badania i dowiedli, że osoby, które przebywają na łonie natury przez co najmniej 120 minut tygodniowo, są mniej narażone na sezonowe wahania nastroju i znacznie rzadziej zgłaszają pogorszenie zdrowia psychicznego.

Tyle naukowcy. Może bogatsi o tę wiedzę łatwiej przeżyjemy kolejną zimę. W tym roku trzymamy się myśli, że przed nami cieplejsze, słoneczniejsze i przede wszystkim dłuższe dni. PAP

eprasa.pl 25b49663e2

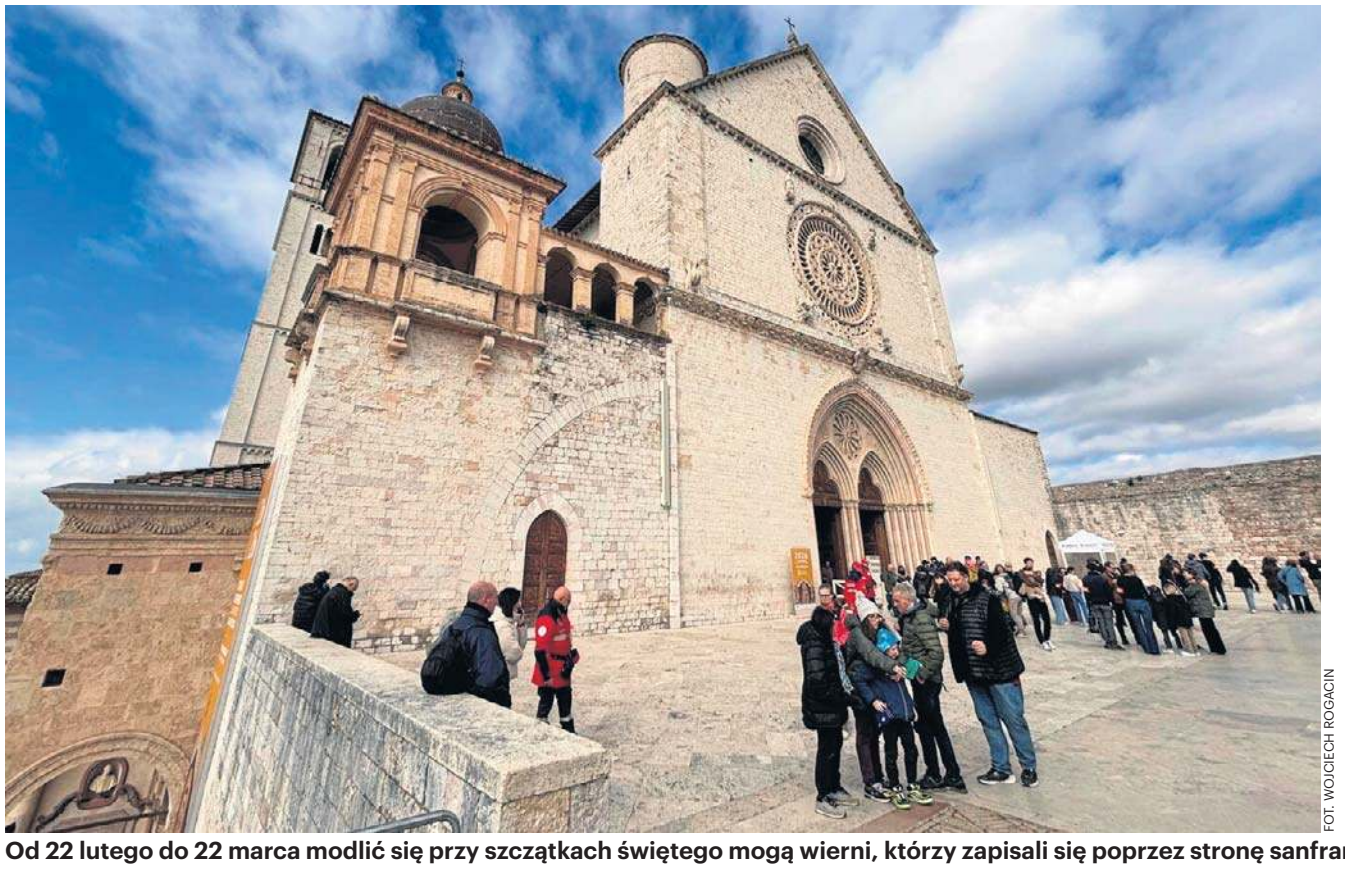

FOT. WOJCIECH ROGACIN

FOT. WOJCIECH ROGACIN

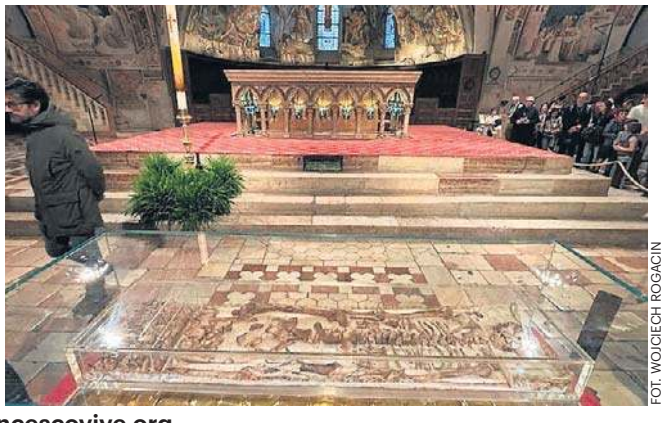

FOT. WOJCIECH ROGACIN

Od 22 lutego do 22 marca modlić się przy szczątkach świętego mogą wierni, którzy zapisali się poprzez stronę sanfrancescovive.org

O POKÓJ W ŚWIECIE I W SERCACH

To jest coś, co przeszywa duszę – tak pielgrzymi z Polski opowiadali Vatican News o emocjach związanych z oddaniem czci i modlitwie przy doczesnych szczątkach św. Franciszka, wystawionych w Asyżu. – Przybyliśmy prosić, aby sprowadzał na nas Boże błogosławieństwo pokoju – mówią

Wojciech Rogacin, Vatican News, Asyż

Rześki poranek w lutym na dziedzińcu przed dolną bazyliką w Asyżu. W skupieniu i z cierpliwością około stuosobowe grupy oczekują na swoją kolej do wejścia do bazyliki, aby ujrzeć i oddać cześć szczątkom św. Franciszka z Asyżu. Po raz pierwszy w historii, właśnie w 800 lat po śmierci Biedaczyny z Asyżu, jego szczątki zostały na 30 dni wystawione publicznie, do oddawania czci przez wiernych.

Ziarno, które obumarło i wydało plon

„Na którą macie wejście?" - pyta oficer służb kierujących ruchem pielgrzymów. „Na 10.30" - słychać odpowiedź. „To zaczekajcie jeszcze na placu na swoją kolej". W tym czasie wcześniejsze grupy w wielkim namiocie są instruowane, jak zachować się podczas nawiedzenia oraz czego oczekiwać w trakcie tego duchowego przeżycia.

Na ekranach w namiocie widać kiełkujące ziarno. I powtarzający się napis z Ewangelii św. Jana: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity".

To Franciszek - który ogołocił się ze wszystkiego, a upodabniając się do Jezusa, stał się jak ziarno, które po tym, jak obumarło, przynosi od wieków ogromne plony duchowe. Takie, jak i to zgromadzenie pielgrzymów, przybyłych do Asyżu w 800 lat po śmierci Biedaczyny.

Każdy z nich może ponownie przemyśleć, o tym, co odrzucić, z czego się „ogołocić", aby móc przybliżyć się do Boga - jak święty patron tego miejsca.

450 tysięcy, w tym wielu Polaków

Wokół przemieszczające się grupy ludzi. Słychać język włoski, polski, francuski i wiele innych. Grupa amerykańskich księży zmierza do górnej bazyliki na Mszę św. Za nimi liczna pielgrzymka rodzin z Francji - dorośli z małymi dziećmi. Wszyscy z pomarańczowymi opaskami, żeby nie zgubić się w tłumie.

„Nie robimy zdjęć. Proszę pani - proszę schować telefon" - słychać od porządkowych wewnątrz bazyliki. Ludzie posłusznie chowają smartfony. Trwa chwila skupienia, modlitwy i cierpliwego oczekiwania.

To pierwsze w historii publiczne wystawienie szczątków św. Franciszka w Asyżu. Wcześniej udostępniono je przed laty tylko wybranym osobom jednego dnia. Teraz od 22 lutego do 22 marca modlić się przy szczątkach świętego mogą wierni, którzy zapisali się poprzez stronę sanfrancescovive.org.

Jak podaje Święty Konwent Braci Mniejszych (Sacro Convento) - zapisało się około 450 tys. osób. 80 procent z nich pochodzi z Włoch, których św. Franciszek jest jednym z największych synów. Kolejną najliczniejszą grupę stanowią Amerykanie - ok. 5 tys., a niedaleko za nimi są Polacy. Jak mówi Andrea Cova z biura prasowego Franciszkanów, pielgrzymów z Polski zapisało się 3752.

To coś, co przeszywa duszę

„Przyjechaliśmy z Lublina. Postanowiliśmy dzieciom pokazać te ważne miejsca, o których uczą się w szkole. Chodzą do szkoły katolickiej" - mówi Agnieszka Dyś, która do Asyżu przybyła z mężem Grzegorzem oraz dziećmi - Wiktorią, Mateuszem i Natalią.

„Modlitwa przy relikwiach św. Franciszka, to coś wyjątkowego. To jest coś, co przeszywa duszę" - Agnieszce łamie się głos ze wzruszenia. „To moment refleksji nad tym, jak człowiek przeżywa swoje życie, nad tym, co nas czeka, jak je przeżywał św. Franciszek, a jak my przeżywamy" - dodaje.

I rzeczywiście, moment nawiedzenia relikwii Biedaczyny z Asyżu jest wyjątkowy. Najpierw kilkuminutowa katecheza w bazylice, przypomnienie, że życie Franciszka było ofiarą z siebie złożoną Bogu, którego miał za jedynego Ojca. Było ewangelicznym ziarnem. Potem spacer w zupełnej ciszy, razem z setką innych osób z grupy wzdłuż ścian pokrytych freskami Giotta - sceny z Kalwarii Chrystusa i kluczowe momenty życia Franciszka. Wreszcie cel tej pielgrzymki - mała szklana skrzynia ze złożonymi kośćmi świętego.

Agnieszka długo stała wpatrując się w nie w ciszy modlitwy polecając dzieci, bliskich, a także rozważając swoje życie.

Franciszek jest z nami i sprowadza błogosławieństwo

Podobnie, jak o. Łukasz Pazgan, proboszcz parafii św. Antoniego w Jaśle, który wskazuje, że te kości, to właśnie to ziarno, o którym mówi Ewangelia. „To ziarno, które obumarło, a cały czas wydaje owoce - poprzez swój charyzmat" - mówi o. Łukasz. „Chcemy w tym szczególnym czasie jubileuszowym powrócić do korzeni, do pierwotnego źródła, do świadomości, że św. Franciszek jest z nami i błogosławi, i sprowadza na nas błogosławieństwo Boga na naszą parafię, wspólnotę" - dodaje o. Łukasz.

Proboszcz z Jasła przyjechał ze współbratem o. Piotrem Chmielewskim i jedną z rodzin z parafii. Tam, na Podkarpaciu, szczególnie odczuwa się potrzebę wartości, jakie swym życiem głosił św. Franciszek - pokoju, braterstwa, pokory.

„Szczególnie chcemy modlić się o pokój. Widzimy, co się dzieje za wschodnią granicą" - dodaje o. Łukasz. „Modlimy się o pokój na Ukrainie, ale i w naszych rodzinach, prosimy św. Franciszka, aby to błogosławieństwo pokoju na nas sprowadzał" - dodaje.

Napływ wiernych

Pomimo upływu godzin, rzeka pielgrzymów do Bazyliki w Asyżu nie maleje. W późnych godzinach popołudniowych wciąż nowe grupy oczekują na oddanie czci i modlitwę przy relikwiach świętego Franciszka.

„Pierwszego dnia - w niedzielę 22 lutego - mieliśmy 18 tysięcy pielgrzymów. Od poniedziałku codziennie jest ich około 11-12 tysięcy" - mówi Andrea Cova, koordynator biura prasowego w Asyżu. I dodaje, że w weekend ponownie spodziewanych jest ok. 20 tys. pielgrzymów dziennie.

Ziarna pamięci

Każdy z nich wychodzi stąd z podarowanymi ziarnami pszenicy i maleńkimi kartonowymi doniczkami. Po to, aby zasiać te ziarenka w domu i ponownie przypomnieć sobie, że aby wydać plon, ziarno musi obumrzeć.

eprasa.pl 25b49663e2

O drodze do malarstwa, odwadze zmiany i miłości do Warszawy

Zrezygnowała ze stabilnej pracy w branży kreatywnej, by stanąć przed sztalugą i zacząć wszystko od nowa. Dziś maluje Warszawę - realną i jednocześnie magiczną. Jej obrazy regularnie pojawiają się na aukcjach młodej sztuki. Joanna Abra, artystka i malarka, mówi o odwadze zmiany, duchowym wymiarze twórczości i Warszawie, która stała się jej artystycznym wszechświatem

Joanna Postrzednik

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Joanna Abra: Po prostu biorę płótno, farby i pędzle, staję przed sztalugą i robię swoje najlepiej, jak potrafię — tak, jak podpowiada mi wewnętrzny głos

Przez kilkanaście lat pracowała Pani w branży mediowo-kreatywnej. W którym momencie poczuła Pani, że nadszedł czas na własne „rzucam wszystko i jadę w Bieszczady" – tylko że w Pani przypadku oznaczało to poświęcenie się w pełni malarstwu?

Potrzebę zmiany czułam już od dawna, wiedząc, że branża, w której wówczas pracowałam, nie jest moim miejscem. Jednocześnie nie miałam alternatywy – nie wiedziałam jeszcze zupełnie, co mogłoby dać mi spełnienie i poczucie sensu. Zaczęłam więc świadomie szukać i otwierać się na nowe doświadczenia. Było to około dziesięć lat temu, gdy kupiłam mieszkanie i równolegle podjęłam decyzję o rozpoczęciu studiów podyplomowych z aranżacji wnętrz. Malarstwa nie było wtedy nawet na liście rozważanych opcji. Moja historia nie zaczyna się od zdania: „od dziecka kochałam rysować i malować". Raczej nigdy nie przypuszczałabym, że zostanę malarką. A jednak droga, w którą skręciłam, doprowadziła mnie właśnie tutaj. Nawiązując do Bieszczadów, o których Pani wspomniała – i które skądinąd bardzo kocham – była to ścieżka wymagająca wytrwałości. Kto zna te góry, ten wie, że choć ich szczyty nie są bardzo wysokie, długie podejścia wymagają czasu, cierpliwości i dobrej kondycji.

Czy miała Pani poczucie, że rezygnuje z czegoś stabilnego, czy raczej że wraca do czegoś, co było w Pani od zawsze?

Towarzyszyły mi skrajne emocje. Z jednej strony strach i niepewność związane z rezygnacją ze stabilności oraz bezpieczeństwa finansowego, z drugiej – ekscytacja tym, co dopiero miało nadejść. Starałam się przygotować do tej zmiany, jednak rzeczywistość okazała się trudniejsza, niż sobie wyobrażałam. Wiedziałam jednak, że to jedyna droga, którą mogę pójść. Starałam się trzymać pozytywnych myśli i powtarzałam sobie, jak wielkim szczęściem jest odkryć po trzydziestce siebie w twórczości i uczynić z malarstwa nową ścieżkę zawodową. Czy to było we mnie od zawsze? W pewnym sensie tak – jeśli spojrzymy na to z poziomu duchowego. W czasie mojego „przebranżowienia" trafiłam m.in. na książkę-kurs „Droga artysty", która mocno eksploruje temat twórczości jako zjawiska duchowego. Jest mi to bliskie, choć na co dzień nie myślę o swojej pracy w kategoriach wzniosłości. Po prostu biorę płótno, farby i pędzle, staję przed sztalugą i robię swoje najlepiej, jak potrafię – tak, jak podpowiada mi wewnętrzny głos.

Co najbardziej zmieniło się w Pani codziennym życiu po odejściu z pracy etatowej?

Przede wszystkim nie muszę już wstawać o bardzo wczesnych porach. Mogę żyć bardziej w zgodzie z własnym rytmem. Wolno wchodzę w dzień, najlepiej pracuję mi się popołudniami i wieczorami, a w ciągu dnia mogę wyjść na spacer, załatwić sprawy na mieście, ugotować jedzenie czy pobawić się z kotem. Odzyskałam możliwość w pełni zarządzania swoim czasem. To oczywiście wspaniałe i wiem, że wiele osób o tym marzy, ale jednocześnie wymaga dużej dyscypliny, nad czym wciąż pracuję. Najważniejsze jest dla mnie to, że mogę dopasować aktywność do swojego samopoczucia. Choruję na Hashimoto, dlatego, by dobrze funkcjonować, musiałam zmienić styl życia i nauczyć się lepiej o siebie dbać. Po odejściu z etatu moje życie wyraźnie zwolniło, choć stare schematy myślenia jeszcze się odzywają. Potrzebowałam czasu, by wyjść z pętli stresu, zregenerować się psychicznie i zbudować nową tożsamość.

Czy ktoś w Pani rodzinie zajmował się sztuką, czy malarstwo pojawiło się w Pani życiu jako całkowicie własne odkrycie?

Moi rodzice przez wiele lat prowadzili firmę produkującą biżuterię. Mama zawodowo tworzy biżuterię artystyczną, a w liceum uczęszczała na lekcje malarstwa i rysunku. Czasem mówi, że dziś realizuję jej dawne pomysły i marzenia. Z kolei jej tata, czyli mój dziadek, był fotografem. Gdy byłam dzieckiem, zabierał mnie do ciemni i opowiadał mi o fotografii. Jeśli miało to na mnie wpływ, to raczej pośredni. Przez większość życia byłam przekonana, że brakuje mi zdolności manualnych i w ogóle nie eksplorowałam tego kierunku, choć kultura i sztuka zawsze były obecne w moim świecie – tyle że byłam jedynie odbiorcą. Odkrycie własnych możliwości pojawiło się zupełnie niespodziewanie i było dużym zaskoczeniem zarówno dla mnie, jak i dla moich bliskich.

W Pani pracach Warszawa to połączenie realizmu architektonicznego z magicznym. Ciekawi mnie Warszawa, którą nosi Pani w sobie. Czym to miasto jest dla Pani prywatnie i jak ta relacja przekłada się na to, co widzimy na obrazach?

Warszawa jest moim centrum wszechświata. Tu mieszkam i żyję – to mój świadomy wybór, choć nie wiem, czy zdecyduję się na stwierdzenie, że będę tu mieszkać już zawsze. Wychowałam się pod Warszawą, ale od dziecka często tu bywałam, a od czasu studiów codziennie. To właśnie wtedy zaczęłam naprawdę odkrywać to miasto. Ostatnio uświadomiłam sobie, że duży wpływ na mój stosunek do Warszawy – a nawet na pewien rodzaj lokalnego patriotyzmu – miała muzyka, zwłaszcza stare utwory hip-hopowe, na których się wychowałam. Pezet, Eldo, Sokół, a później także Taco Hemingway i Mata opowiadają o tym mieście każdy na swój sposób, ale zawsze z dużą fascynacją. Lubię spacerować warszawskimi ulicami, mam swoje miejsca związane z konkretnymi momentami życia. Interesuje mnie architektura, ale mam poczucie, że moja twórczość nie jest o niej. Staram się raczej sportretować te przestrzenie, uchwycić ich wyjątkowość i osadzić je w szerszej perspektywie. Wierzę, że wszyscy jesteśmy częścią czegoś większego – patrząc w górę, widzimy to samo niebo. To właśnie ono najczęściej staje się w moich obrazach elementem magicznym. Nastrój często budują też uliczne światła i neony, bardzo lubię malować takie klimatyczne nokturny z ich udziałem.

Czy któryś z obrazów warszawskich jest dla Pani szczególnie osobisty?

Szczególnie osobisty jest dla mnie obraz „The Spirit of Warsaw" z 2022 roku, którym zadebiutowałam na rynku sztuki w Pragalerii. Przedstawia nadwiślańską Syrenkę otoczoną motylami symbolizującymi przemianę i wolność.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulubiony obraz Joanny Abry to „The Spirit of Warsaw" z 2022 roku

Nad jakimi projektami pracuje Pani obecnie?

Nieustannie tworzę kolejne odsłony cyklu Niebo nad Warszawą, ukazujące panoramę miasta z różnych perspektyw. Planuję sportretować zarówno ikoniczne miejsca, jak i te bardziej osobiste, czy mniej oczywiste – parki, osiedla, podwórka, dworce, pomniki. Jeden z takich obrazów, „Pole Mokotowskie (zimową porą)", pojawił się niedawno w DESA. Równolegle rozwijam serię poświęconą planetom. Moją ulubioną pozostaje Jowisz, który malowałam już wielokrotnie, ale ostatnio główną bohaterką stała się Wenus. Mam w głowie wiele kolejnych pomysłów, niekoniecznie związanych z Warszawą czy architekturą. Ten rok chciałabym poświęcić na eksperymenty – zarówno tematyczne, jak i techniczne. Zobaczymy, dokąd mnie to zaprowadzi.

Na koniec pytanie z serii moich ulubionych. Czy ma Pani ulubione miejsce w Warszawie?

Niejedno. Uwielbiam Muranów – mieszkam na styku trzech dzielnic, a to moja najbliższa okolica. Ogród Krasińskich jest dla mnie najbliższą przestrzenią zieloną, uwielbiam go o każdej porze roku i jego klimat kojarzy mi się bardzo z londyńskimi parkami. Kocham warszawskie kina studyjne, szczególnie Muranów i Kinotekę. Bliskie są mi także Stary Żoliborz i okolice Cytadeli, Most Gdański z neonem „Miło Cię widzieć", od którego można powiedzieć, że zaczęła się moja przygoda z portretowaniem Warszawy. Cała trasa rowerowa po obu stronach Wisły będąca pętlą od Mostu Północnego do Siekierkowskiego. Oczywiście nie może na mojej liście zabraknąć Pałacu Kultury - nie wyobrażam sobie naszego miasta bez tego budynku. Do tego Mariensztat, Rynek Nowego Miasta, Plac Konstytucji, Rondo de Gaulle'a, Plac na Rozdrożu, Agrykola, Frascati... Mogłabym jeszcze długo tak wymieniać.

Aktualnie Joanna Abra współpracuje z trzema galeriami w Warszawie: Desa Unicum, Pragaleria oraz Art in House. Jej prace regularnie pojawiają się na aukcjach młodej sztuki. W marcu artystka weźmie udział w aukcji „Kobiety w sztuce" organizowanej przez warszawski oddział Sopockiego Domu Aukcyjnego. Zaprezentuje tam swój najnowszy obraz z panoramą Warszawy. Wystawę przedaukcyjną będzie można oglądać od 4 marca.

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

ZAMEK W KÓRNIKU

KOGO STRASZY BIAŁA DAMA?

To tutaj mieszkały rodziny Górków, Czarnkowskich, Grudzińskich, Działyńskich i Zamoyskich. Przemierzyliśmy wszelkie zakamarki, by poznać jego tajemnice. Małgorzata Potocka opowiedziała nam, co gdyby „te mury mogły mówić"

Maciej Szymkowiak

Kto w młodości nie widział tych imponujących murów i nie przechadzał się po jego pięknych wnętrzach? Zamek w Kórniku to świadek sześciu stuleci historii Wielkopolski. To tutaj mieszkały rodziny Górków, Czarnkowskich, Grudzińskich, Działyńskich i Zamoyskich. W tym roku obchodzi on swoje 600-lecie, a Biblioteka Kórnicka, skarbnica wiedzy i pamiątek, swoje 200-lecie. Małgorzata Potocka, starszy kustosz, oprowadziła nas po zakamarkach zamku, odkryła przed nami jego skrywane tajemnice i opowiedziała nam, co gdyby „te mury mogły mówić".

600 lat historii w murach zamku

Dlaczego mówimy o 600-leciu Zamku w Kórniku? Swój obecny wygląd zamek zawdzięcza XIX-wiecznej przebudowie w stylu neogotyku angielskiego, zleconej przez Tytusa Działyńskiego. Jednak początki zamku sięgają pierwszej połowy XV wieku. Najstarszy dokument pochodzi z ok. 1426 roku i dotyczy prac remontowych prowadzonych przez ród Górków.

Zamek wzniesiono na sztucznie usypanej wyspie, otoczonej fosą. W średniowieczu pełniła ona funkcję obronną i stabilizowała grunt pod mury. Pierwotne wejście prowadziło od strony parku; dopiero w XVIII wieku Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka, znana jako „Biała Dama", otworzyła zamek w kierunku miasta.

– Zamek był ważnym ośrodkiem życia politycznego i towarzyskiego. Gościł m.in. Henryka Walezego w 1574 roku, który został zaproszony tu na ucztę w czasie podróży na koronację do Krakowa – opowiada Małgorzata Potocka.

Pokój pański, czyli od Tytusa do Władysława

Zwiedzanie zaczęliśmy od pokoju Władysława Zamoyskiego. W rzeczywistości jednak w tym pomieszczeniu mieszkali – w sensie pracowali i spali – kolejno: Tytus Działyński, jego syn Jan Działyński oraz wnuk Władysław Zamoyski.

– Władysław Zamoyski nie sypiał na łóżku, które stało naprzeciwko wejścia, lecz na biurku, podkładając pod głowę angielską encyklopedię. Łóżko kazał wynieść, chcąc w ten sposób umartwiać się – jak twierdził – nad głupotą w państwie polskim i sytuacją w wojsku. Miał powiedzieć, że jeśli nic się nie zmieni, Polska doczeka się jeszcze gorszej niewoli niż ta, z której dopiero co się wyzwoliła – opowiada anegdotę Małgorzata Potocka.

Podłogę wykonano z brzozy, orzecha i mahoniu. Zachwyca precyzją ręcznej roboty wielkopolskich rzemieślników.

– Podłoga to w całości ręczna praca wielkopolskich rzemieślników. Przeszła konserwację, dlatego obecnie nie wpuszcza się tu turystów: zwiedzający oglądają wnętrze z progu – zauważa kustoszka.

Biurko w pokoju Władysława Zamoyskiego należało pierwotnie do Tytusa Działyńskiego, który otrzymał je w prezencie od swojej żony, Celestyny. Znajdują się tu też: szafa elbląska, zwana gdańską i szafa bretońska z XVII wieku.

W XIX wieku Działyńscy kolekcjonowali liczne dzieła sztuki i meble. Jan Działyński posiadał jedną z największych kolekcji mebli gdańskich – były to szafy, sekretery i inne elementy wyposażenia. Meble gdańskie świadczyły o poziomie kultury właściciela, symbolizowały patriotyzm oraz zamożność rodu. Pierwszą szafę do kolekcji – tzw. szafę elbląską – zakupiła Celestyna Działyńska. Z kolei piękna bretońska szafa z 1628 roku z wizerunkami dwunastu apostołów czy angielski sekretarzyk po babce Tytusa, Annie z Radomickich, świadczą o szerokich horyzontach właścicieli.

– Choć niektóre szafy ważą od 100 do nawet 300 kilogramów, meble gdańskie konstruowano w taki sposób, aby można je było łatwo rozłożyć i przenieść.

„Pokój skazańców"

Władysław Zamoyski nazywał salon „pokojem skazańców". Znajdują się tu bowiem portrety członków rodziny, którzy za swoją działalność patriotyczną ponieśli surowe konsekwencje. Widzimy dwa portrety Tytusa Działyńskiego, portret jego ojca Ksawerego oraz stryja Ignacego, a także Jana Działyńskiego.

– Jan za udział w powstaniu styczniowym został skazany na karę śmierci, i choć wyrok zamieniono na karę więzienia, to Jan zdążył wyemigrować do Francji, gdzie doczekał się ułaskawienia. Tytus za udział w powstaniu listopadowym został pozbawiony przez władze pruskie majątku kórnickiego, który później musiał odzyskiwać. Ojciec Tytusa był więziony, a stryj zesłany na Syberię – wyjaśnia Małgorzata Potocka.

Wnętrza, wciąż oddają klimat życia dawnych właścicieli. Kanapy i fotele obite pstruchą podkreślają szacunek dla wytwórczości ludowej. Tkactwo rozwijało się tu już w XVIII wieku, dzięki wsparciu Teofili – Białej Damy.

– To nie jest typowe muzeum. To dom historyczny, który przy zachowaniu klimatu dawnej epoki stał się muzeum, umożliwiając tym samym turystom poznanie historii rezydencji i rodzin ją zamieszkujących – dodaje rozmówczyni.

W salonie uwagę przykuwa stół, wykonany z szesnastu gatunków drewna, a dokładnie z sęków, przez wielkopolski warsztat rzemieślniczy na zamówienie Tytusa Działyńskiego. Pomimo upływu lat stół wciąż zachwyca precyzją i kunsztem.

– Zgodnie z rodzinną tradycją córki Tytusa musiały znać na pamięć wszystkie gatunki drewna użyte do jego wykonania. Syn został z tego obowiązku zwolniony: wobec niego ojciec miał inne oczekiwania – mówi Potocka.

Obok stołu stoi fortepian wykonany w 1810 roku, należący do siostry Tytusa, Klaudyny z Działyńskich Potockiej. Według tradycji na tym instrumencie grywał sam Fryderyk Chopin. Nie mniej imponująca jest paryska harfa pedałowa. To symbol dawnej kultury, w której muzyka i sztuka były jedną z form spędzania wolnego czasu.

– W dawnych czasach nie było telewizji ani współczesnych form rozrywki, dlatego życie rodzinne koncentrowało się wokół wspólnego spędzania czasu: rozmów, czytania, gry w szachy czy muzykowania. Wszystkie córki Działyńskich potrafiły grać na instrumentach, pięknie malowały i posługiwały się kilkoma językami. Szczególnie wyróżniała się Jadwiga z Działyńskich Zamoyska, córka Tytusa, która znała aż dziewięć języków – dopowiada Małgorzata Potocka.

CZĘSTO POWTARZA SIĘ, ŻE WNĘTRZA ZAMKU WYGLĄDAJĄ TAK, JAKBY WŁAŚCICIELE DOPIERO CO JE OPUŚCILI. W WIĘKSZOŚCI Z NICH TAK JEST

Czarna Sala, jadalnia i historia Białej Damy

Niech nie zwiedzie nazwa – ściany Czarnej Sali są białe, a podłoga w kolorze czarnym, stąd nazwa pomieszczenia. Dawniej była to zamkowa sień, przez którą w XIX w. goście przechodzili bezpośrednio do Salonu lub Jadalni, z pominięciem prywatnych pokoi właścicieli.

Portret Teofili, Białej Damy (mieszczący się w Jadalni) sprowadzony do Kórnika przez Tytusa w 1854 roku, do dziś wzbudza ciekawość. Według legendy co noc schodzi ona z obrazu, przechadza się po zamkowych komnatach, wychodzi do ogrodu, gdzie czeka na nią czarny rycerz na koniu, i dopiero przed wschodem słońca wraca na obraz. Dzieciom opowiada się, że ślady obcasów w podłodze to właśnie pamiątka jej nocnych spacerów.

Jedna z wersji legendy głosi, że Teofila nie zazna spokoju, dopóki mieszkańcy Kórnika nie oddadzą diabłu jego skarbów. Opowieść wiąże się z rozbiórką budynku w Mościenicy, z którego pozyskano cegły na budowę kominów. W ruinach miały znajdować się skarby należące do diabła; gdy je zabrano, rzucił on klątwę na właścicielkę zamku.

Sala Mauretańska pełni dziś funkcję bib

– Ale Białą Damą nie ma co straszyć – opowiada przewodniczka, przypominając lokalną legendę.

Teofila była jedyną kobietą – właścicielką Zamku w Kórniku, który odziedziczyła po swoim ojcu. Osierocona w wieku 11 lat, została starannie wykształcona przez swoją ciotkę, księżną Teofilę Wiśniowiecką. W wieku 17 lat wyszła za mąż za Stefana Szołdrskiego, który zmarł kilka lat później. Mając zaledwie 22 lata, została wdową z trojgiem dzieci i samodzielnie zarządzała majątkami: kórnickim i runowskim.

– Była pionierką reform społecznych. Gdy objęła dobra kórnickie, miasteczko liczyło około 200 mieszkańców. Sprowadziła osadników z Niemiec, czyli olędrów, zamieniła pańszczyznę na czynsz i zapewniała swobodę wyznaniową protestantom, katolikom i Żydom. W XVIII-wiecznym Kórniku obok siebie żyły więc społeczności różnych kultur i religii. Założyła również

FOT. ROBERT WOŹNIAK

W salonie głównym uwagę przykuwa stół, który zamówił Tytus Działyński. Powstał z szesnastu różnych gatunków drewna

eprasa.pl 25b49663e2

FOT. ROBERT WOŹNIAK

lioteczno-muzealną. Tu znaleźć można XVII-wieczną zbroję husarską z jednym skrzydłem

straż ogniową oraz stanowczo sprzeciwiała się procesom o czary. Zapowiadała, że każdy, kto bezpodstawnie oskarży kogoś o czary, najpierw zapłaci karę, a jeśli to nie pomoże – trafi do aresztu. Było to podejście niezwykle nowoczesne jak na owe czasy – chwali nasza rozmówczyni.

Tu książki były ważniejsze od jedzenia

W jadalni zachwyca sufit ozdobiony herbami rodów polskich i opowieści o literackich upodobaniach Tytusa.

Anegdota z czasów, gdy rodzina musiała przenieść się do Oleszyc, pokazuje to najlepiej: Tytus wrócił z zakupów… pełen książek zamiast jedzenia.

– Na to Celestyna, jego żona, miała odpowiedzieć, że „białą gęsią dzieci nakarmić można, ale białym krukiem – nie". Historię tę opisała ich najmłodsza córka, Anna z Działyńskich Potocka, późniejsza właścicielka Rymanowa Zdroju.

Sufit jadalni zdobi 71 herbów, zainspirowanych dziełem Jana Długosza, symbolizujących potęgę Polski. Nawiązują one do rycerstwa uczestniczącego w wielkich bitwach, przede wszystkim do zwycięstwa pod Grunwaldem. Umieszczając je tutaj, Tytus chciał przypomnieć, że Polska była kiedyś silnym i znaczącym państwem. Czynił to w czasach zaborów, gdy władze usuwały narodowe symbole z przestrzeni publicznej – jak choćby z Wawelu.

– Według tradycji przekazywanej przez kórnickich przewodników, Tytus pozostawił jedno pole puste – dla herbu gościa, które nigdy nie zostało uzupełnione.

Sala Mauretańska

Jej wnętrze od razu przyciąga wzrok. Jej nazwa pochodzi od formy architektonicznej inspirowanej sztuką mauretańską – odwołującą się do słynnej Alhambry w Hiszpanii.

Źródłem tej fascynacji był Tytus Działyński, który podczas pobytu na Wystawie Światowej w Londynie zobaczył model Alhambry i zapragnął przenieść tę estetykę na grunt kórnicki. W XIX wieku wystawy światowe były czymś więcej niż pokazami techniki. Były prawdziwą szkołą poznawania świata.

Interesującym elementem są rzeźby zwierząt przy wejściu do zamku. Pies i słynny dzik – kopia „Il Porcellino". Tytus kupił te posągi na jednej z powszechnych wystaw i – jak pisał w liście do żony – „kupiłem dwie cudowne bestyjki". Kolejne figury, lwa i lwicę, zamówił w berlińskiej firmie, ustawiając je od strony parku.

Nazwa „Biblioteka Kórnicka" nie ogranicza się do książek. To cały świat zbiorów: rękopisy, stare druki, mapy, atlasy, grafiki, fotografie, obrazy, zbroje, meble, porcelana i wiele innych ciekawych obiektów. Obecnie kolekcja kórnicka liczy około pół miliona jednostek.

W Sali Mauretańskiej do najciekawszych eksponatów militarnych możemy zaliczyć XVII-wieczną zbroję husarską, ważącą około 25 kilogramów z jednym skrzydłem, oraz trzy kopie husarskie, których w Polsce zachowało się jedynie kilka.

Podczas II wojny światowej zamek, na szczęście, nie został zniszczony. Dzięki staraniom pracowników biblioteki udało się ocalić zbiory Działyńskich i Zamoyskich. Wyjątkową historię ma królewska taszka należąca według tradycji do Michała Korybuta Wiśniowieckiego, wywieziona w czasie wojny i odzyskana dopiero w 2025 roku dzięki staraniom i współpracy pracowników: Biblioteki Kórnickiej, Zamku Królewskiego na Wawelu oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Niezwykła historia Zamku w Kórniku nie skończyła się wraz z ostatnimi właścicielami. W zamkowych wnętrzach mieszczą się sale muzealne oraz jedna z najstarszych bibliotek w Polsce, a wszystko to pod szyldem Polskiej Akademii Nauk i Biblioteki Kórnickiej, która w 2026 roku świętuje aż dwa jubileusze – 200-lecie biblioteki i 600-lecie zamku.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Portret Teofili, Białej Damy, sprowadzony do Kórnika przez Tytusa w 1854 roku, do dziś wzbudza ciekawość. Co noc schodzi ona z obrazu?

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Kolekcja w pokoju myśliwskim zawiera maski, ozdoby, eksponaty zoologiczne i antropologiczne, a także dziobaka i figurę z Papui-Nowej Gwinei sprzed kilku tysięcy lat. Oto, jak szerokie były zainteresowania rodu

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

JULIA PIETRUCHA: MOJE AKTORSKIE MECHANIZMY DOPIERO SIĘ ROZGRZEWAJĄ

Od dekady jest z nami jako wokalistka, wykonując urocze piosenki o alternatywnym tonie. Teraz zobaczymy ją jednak znowu na dużym ekranie – we wchodzącym dziś do kin filmie „Pojedynek". Nam Julia Pietrucha opowiada, czy ma sentyment do serialu „Blondynka", który niegdyś przyniósł jej wielką popularność

Paweł Gzyl

Za sprawą filmu „Pojedynek" wracasz po niemal dziesięciu latach przerwy do aktorstwa. Jak do tego doszło?
Stało się to dosyć niespodziewanie, ponieważ nie planowałam tego powrotu świadomie. Zajmowałam się muzyką i to wypełniało mój grafik. Los jednak spłatał mi niespodziankę. Po tych dziesięciu latach przerwy dostałam telefon i zaproszenie do tego projektu. Przyjęłam je, długo się nie zastanawiając, bo było bardzo miłe i konkretne. Uznałam, że to dobry moment, bo splotło się to w czasie z moją czasową dostępnością.

Podczas naszej poprzedniej rozmowy, mówiłaś: „Założyłam, że jeśli trafi mi się historia, która mnie poruszy, to zdecyduję się wrócić". Co cię poruszyło w „Pojedynku"?
Przede wszystkim bardzo dobrze napisany scenariusz. Ale też rola, która została mi powierzona – polskiej pilotki i spadochroniarki Janiny Lewandowskiej, która była jedyną kobietą osadzoną w obozie w Kozielsku w 1939 roku. Ważny też był rozmach, z jakim planowano nakręcić ten film, świetna obsada i reżyser Łukasz Palkowski, z którym już wcześniej się spotkałam. Uwierzyłam, że warto wziąć udział w tym projekcie, tym bardziej że zamysł mojego występu pojawił się już na wczesnym jego etapie, co było dla mnie bardzo nobilitujące.

Jak się poczułaś, kiedy znowu znalazłaś się na filmowym planie?
Od początku towarzyszyła mi radość i ekscytacja. Kręciliśmy w twierdzy Modlin, działo się to pod koniec maja czy na początku czerwca, było więc ciepło. Scenografia obozowa została już wybudowana, a aktorzy pojawili się w swych filmowych kostiumach. Przeniosłam się więc momentalnie w końcówkę lat 30. minionego wieku. Wejście w ten świat było dla mnie niezwykle ekscytujące.

Jesteś w „Pojedynku" jedyną kobietą w męskim towarzystwie. Czułaś się wyjątkowo?
Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i płeć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana. Wtedy powstaje wokół niej ochronny pancerz, tworzony przez mężczyzn, którzy się nią opiekują, ale którymi ona również się opiekuje na swój sposób. Nieprzypadkowo była przecież nazywana „Matką Boską Kozielską". Jest więc też swego rodzaju symbolem jako jedyna kobieta w obozie.

Twoi koledzy-aktorzy też otoczyli cię taką opieką na planie?
Na pewno czułam takie wsparcie. Tym bardziej że miałam dziesięć lat przerwy i moje aktorskie mechanizmy nie były jeszcze rozgrzane. Byłam więc przez nich dopingowana i otwarcie okazywano mi wsparcie. To mi na pewno pomogło, nie dorzuciło dodatkowego stresu, tylko sprawiło, że mogłam w aurze braterskości zanurzyć się w tym wojennym świecie. Mogę więc chyba powiedzieć, iż stworzyliśmy prywatnie fajną grupę.

Pracowałaś wśród samych gwiazd polskiego kina, a twoim najbliższym partnerem był Jakub Gierszał. Była między wami ta przysłowiowa „chemia"?
Poznałam Kubę jakieś osiemnaście lat temu. On kręcił wtedy swój debiutancki film „Wszystko, co kocham" na Helu, a ja w tym samym miejscu „Miasto z morza". Nasze ekipy się wówczas spotkały. Wkrótce potem jego film miał premierę i przyjęto go z wielkim entuzjazmem. W kolejnych latach obserwowałam karierę Kuby i marzyło mi się, żeby spotkać się z nim kiedyś na planie. Nie powiedziałam tego na głos – ale ostatecznie się spełniło. Było to dla mnie bardzo nobilitujące i ciekawe doświadczenie, bo mogłam podpatrzyć jak on i jego znakomici koledzy pracują, jak budują swe role, czy potrzebują kontaktu z drugim aktorem czy raczej wolą to robić samemu. Każdy z nich trochę inaczej do tego podchodzi, a do tego Łukasz Palkowski miał dużą dozę otwartości na improwizację i uważnie słuchał aktorów. To też było ciekawe: niby scena była napisana, ale mogła się wywrócić i być inaczej zagrana. Bardzo mi się to podobało, bo uwielbiam w muzyce improwizować na scenie. Okazało się, że w filmie też tak można.

Wcielasz się w autentyczną postać – pilotkę i spadochroniarkę Janinę Lewandowską, która była jedyną kobietą, jaka zginęła w Katyniu. Szukałaś informacji o swej bohaterce w historycznych źródłach?
Starałam się poczytać, ile mogłam. Choćby o obozie w Kozielsku, aby wczuć się w tę aurę. Ale dla Łukasza ważne było, że nie opowiadamy tej historii jeden do jednego. Te autentyczne postaci są punktami wyjścia dla bohaterów, których chcieliśmy stworzyć na ekranie. Dlatego nawet nie jestem fizycznie podobna do kreowanej przeze mnie postaci. Trochę było to uwspółcześnione i na swój sposób autorskie.

No właśnie: w scenariuszu Lewandowska jest pokazana jako silna i niezależna kobieta, równie odważna jak jej koledzy-żołnierze. Spodobał ci się taki rys tej postaci?
Bardzo. Myślę, że to też zdecydowało o tym, by wziąć udział w tym projekcie i wrócić do filmu. Janina Lewandowska bardzo mi imponowała – wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że w latach 30. była pilotką i spadochroniarką. To jednak pokazuje, że w dwudziestoleciu międzywojennym było wiele odważnych kobiet, które żyły po swojemu. Do tego to były o wiele mniej pruderyjne czasy niż są teraz. Cieszę się więc, że mogłam się wcielić w taką wyjątkową postać.

Janina Lewandowska była przed wojną w szkole muzycznej i planowała karierę śpiewaczki. Dzięki temu i ty mogłaś zaśpiewać w filmie.
To prawda. Zaśpiewałam piękny utwór Hanki Ordonówny „Miłość ci wszystko wybaczy". Generalnie muzyka i kino lat 30. są mi bardzo bliskie. Mam obejrzane chyba wszystkie filmy z Eugeniuszem Bodo, łącznie z tymi, z których zachowały się tylko fragmenty.

Ta scena, kiedy za twoim przykładem oficerowie śpiewają „Miłość ci wszystko wybaczy", jest bardzo wzruszająca. Też ją tak odebrałaś?
Nie chcę tu zdradzać fabuły, ale śpiewając ten utwór ratuję głównego bohatera od przymusu, przed którym zostaje postawiony przez sowieckiego komendanta obozu. Za mną odzywają się głosy wszystkich oficerów znajdujących się w baraku. To symbol jedności, która trzymała tych więźniów razem i wolności, którą w sobie mieli, a która sprawiła, że mogli stawić opór najeźdźcy. W ten sposób zamanifestowali swoje pochodzenie i swoją polskość. Jest to też nawiązanie do filmów z lat 30., kiedy fabuła często była przełamywana przez niespodziewane wykonania piosenek. To też zgrabnie zostało wplecione w nasz film.

Z drugiej strony masz też scenę gwałtu, która dla każdej aktorki na pewno jest wielkim wyzwaniem. Jak sobie z nią poradziłaś?
Tego rodzaju sceny są zazwyczaj bardziej szczegółowo przygotowane pod kątem bezpieczeństwa i komfortu aktorów niż inne, dlatego paradoksalnie są mniej stresujące. Wszystko jest dokładnie zaplanowane, każdy ruch jest ustalony, nie ma tu miejsca na improwizację. Niemalże tuż obok kamery stoi koordynator scen intymnych i gdyby coś działo się nie tak, można od razu reagować. W efekcie sekwencja ta wygląda bardziej dramatycznie niż była w rzeczywistości. Dla mnie najbardziej wymagające były sceny, w których liczył się przede wszystkim przepływ energii i emocji. Budowanie na tych elementach, okazało się dla mnie, powracającej do aktorstwa po długiej przerwie, znacznie większym wyzwaniem.

Twoja bohaterka stawia opór kuszeniu ze strony sowieckiego systemu. Zadawałaś sobie pytanie: co ja bym zrobiła na jej miejscu?
Nie jestem tego typu osobą, która zadaje sobie takie pytania. Bo wiem, że ostatecznie nie mamy zielonego pojęcia jakbyśmy się zachowali w takiej sytuacji. Mam rodzinę, bliskich, o których trzeba zadbać – trudno więc przewidzieć jakbym postąpiła. I chyba nie chciałabym się nad tym zastanawiać. Jeśli kiedyś przyjdzie się zmierzyć z taką sytuacją, to wtedy będę reagować i odpowiem sobie na to pytanie.

„Pojedynek" nie potępia jednoznacznie tych oficerów, którzy wybrali kolaborację. Można ich zrozumieć?
Film nie skupia się na tym. Jest tam scena, w której widać jak jeden z oficerów zgadza się na kolaborację i nie zostaje to dobrze przyjęte przez jego kolegów. „Pojedynek" opowiada przede wszystkim o tym, do czego takie manipulacje prowadzą i jak bliski jest nam to temat również dzisiaj. Walka dobra ze złem, wolności ze zniewoleniem, jest obecna na każdym kroku. I to jest najważniejsze przesłanie tego filmu.

Sama postać sowieckiego komendanta obozu Wasilija Zarubina nie jest też jednoznaczna.
To prawda. Pokazujemy choćby jego wrażliwość na muzykę. To czyni go bardziej ludzkim dla widzów. On też jest pod presją dowództwa i tak naprawdę chce do końca pomóc polskiemu oficerowi, którego muzyczny talent podziwia. I jak to odbierać?

Największą nutę nadziei wnosi syn Zarubina. W symboliczny sposób reżyser chce za pomocą tej postaci pokazać, że między nami a Rosjanami może kiedyś pojawi się możliwość porozumienia.
Zgadza się. Dziecko jest czystą istotą, która jeszcze nie jest naznaczona piętnem wojny, nie ma świadomości co jest czarne, a co białe. Zaprzyjaźnia się więc z polskimi oficerami.

„Pojedynek" stał się zaczynem twojego kolejnego projektu – serialu „Langer", w którym ponownie spotkałaś się z Jakubem Gierszałem. To przypadek?
Chyba producenci stwierdzili, że nie można nas rozdzielać. (śmiech)

Jak się odnalazłaś w opowieści sensacyjnej, osadzonej we współczesnej scenerii?
To było trudne zadanie. Większość fabuły opierała się na mojej bohaterce i jej relacji z seryjnym mordercą. Mnogość emocjonalnych stanów i warstw tej postaci, łączyła czasem bardzo kontrastujące ze sobą elementy. Musiałam wchodzić w skrajne emocje – i było to dla mnie duże wyzwanie. Żeby potrafić oddzielić własne odczucia i myśli od tego, co musiałam zagrać na planie. Bo to przecież nie ja miałam odczuwać ciarki, tylko widz przed ekranem. Spotkałam się potem ze skrajnymi ocenami tego serialu i mojej roli. Był to bowiem niełatwy materiał, z którym trzeba było się zmierzyć. Ale cieszę się, że podjęłam tę próbę i wyszłam poza strefę swojego komfortu,

eprasa.pl 25b49663e2

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/MAT.PRAS.

Julia Pietrucha: Skupiłam się głównie na tym, jak czuła się moja bohaterka. Kiedy pojawia się w obozie, próbuje ukryć swą tożsamość i płeć pod mundurem i czapką. Niestety – niemal od razu zostaje zdemaskowana

bo było to po prostu bardzo ciekawe doświadczenie.

Będziesz teraz chciała dalej grać?
Tak, jeśli pojawią się propozycje, w których będę się widziała i będzie to ze mną spójne. Moje aktorskie mechanizmy dopiero się rozgrzewają. Ktoś zapytał mnie, czy to jest tak, jak z jazdą na rowerze – po przerwie wsiadasz na niego i po prostu jedziesz. Niestety – to nie takie proste. Patrząc na to, jak wiele wspaniałych filmów i kreacji pojawia się teraz w polskim kinie, mam jednak motywację do tego, żeby pracować i rozwijać się.

Jesteś gotowa chodzić na castingi i walczyć o role?
Ja nigdy tego tak nie postrzegałam. (śmiech) Jestem raczej człowiekiem, który pragnie się dogadywać i porozumiewać, a nie walczyć. Film to taki rodzaj sztuki, w której niby aktor tworzy swoją kreację sam, ale w sumie jest to wspólne dzieło. I zawsze tej wspólnoty wypatruję. Kiedy byłam na jakimś castingu i potem ktoś inny został obsadzony zamiast mnie, to miałam poczucie, że po prostu ta osoba bardziej pasuje do tego projektu. Czy będę więc dalej grała? Myślę, że tak – jeśli ktoś będzie mnie widział w danej roli i jeśli ja się będę w niej widziała. Na pewno jednak nie czuję w sobie zacięcia, aby walczyć o role, bo mam swój muzyczny świat, którym żyję na co dzień.

Co daje ci aktorstwo, czego nie daje ci muzyka?
Aktorstwo to wychodzenie poza strefę komfortu. To coś, z czym muszę się zmierzyć. Chcę więc grać chyba po to, by trochę utrudnić sobie życie. (śmiech)

Zaczynałaś jako dziecko równolegle od śpiewania i grania w Teatrze Syrena. Dlaczego, wchodząc w dorosłe życie, postawiłaś na aktorstwo?
Ponieważ od razu po występie w teatrze, pojawiły się propozycje filmowe i serialowe. Skorzystałam więc z nadarzającej się okazji. (śmiech) Śpiew pozostał jednak nadal moją wielką pasją. I może dobrze, że tak się potoczyło, bo mogłam poczekać na moment, kiedy potrafiłam stworzyć bardziej dojrzałą wypowiedź muzyczną. Nie wydawać płytę w wieku piętnastu lat, tylko wtedy, kiedy wiedziałam co i jak chcę powiedzieć. Myślę więc, że miało to wszystko duży sens.

Zaczęłaś od telewizji w serialach „Na Wspólnej" i „Kochaj mnie, kochaj". Spodobało ci się w tym aktorskim świecie?
Jako dziecko byłam bardzo nim zafascynowana. Mogłam poznać wspaniałych aktorów, współpracować z nimi, no i urwać się z lekcji. (śmiech) Miałam jednak zawsze mocny kręgosłup moralny i etos pracy, ważne było więc dla mnie, by dobrze przygotować się do roli i uczyć się od najlepszych. Aktorstwo dawało mi to wszystko, mimo że był to świat dorosłych, który funkcjonował dla mnie równolegle z moim światem szkolnym.

W 2007 roku dostałaś nagrodę na festiwalu w Gdyni za „Jutro idziemy do kina". Miałaś wówczas zaledwie osiemnaście lat. Uwierzyłaś wtedy w siebie jako aktorkę?
Pamiętam, gdy byłam na pokazie premierowym tego filmu na festiwalu w Gdyni, ku mojemu przerażeniu, kiedy pojawiałam się na ekranie i wypowiadałem swe teksty, cała sala się śmiała. Działo się tak, ponieważ moja postać była tak słodka i urocza w swej niewinności, ja jednak myślałam, że to dlatego, iż kiepsko ją zagrałam. Chciałam się więc wtedy zapaść pod ziemię. Byłam przekonana, że to po prostu moja wielka klapa. Chwilę później okazało się jednak, że dostałam za tę rolę nagrodę, więc kompletnie nie wiedziałam co tu się dzieje. (śmiech) Cóż: byłam jeszcze dzieckiem i czułam się totalnie zdezorientowana. Mimo że byłam dojrzalsza jak na swój wiek, nigdy nie zdobyłam przekonania, że świetnie sobie radzę w tym aktorskim świecie. Do dziś nie mam takiego uczucia, raczej próbuję i szukam swojej drogi. Biorę udział w różnych projektach, ale to muzyka jest moim przeznaczeniem. Wiem to, od kiedy usłyszałam po raz pierwszy, jak moja babcia gra na akordeonie. Zapragnęłam wtedy śpiewać – i to na scenie czuję się do dziś najlepiej.

Rodzice czy starsza siostra wspierali cię w tej twojej nastoletniej przygodzie z aktorstwem?
Pewnie. Byli obecni i wspierali mnie bardzo. To sprawiało, że bardzo chciałam grać w teatrze i w filmie. Kiedy trafiłam na scenę w wieku jedenastu lat i dostałam trudne do zaśpiewania utwory, przełamałam swój stres i nie wycofałam się. Fascynowało mnie to i wchodziłam w kolejne projekty.

Powszechną rozpoznawalność przyniósł ci serial „Blondynka". Masz sentyment do roli Sylwii Kubus?
Mam sentyment do tego, jak ten serial był odebrany. Do dziś spotykam się z komentarzami, że ludzie oglądali go dla mnie. To uznanie widzów i branży było dla mnie na tamten moment ważne i piękne. W końcu niby pracuje się dla siebie, ale przecież też i dla swych odbiorców. Ucieszyło mnie, że ktoś to poczuł i zrozumiał. Przy „Blondynce" wytworzyła się wokół mnie ogólnopolska sympatia i do dziś zdarza się, że ktoś po koncercie zaczepia mnie i mówi, że przyszedł na mój występ, bo znał mnie z „Blondynki", a wcześniej nie wiedział, że śpiewam.

Myślisz, że ta serialowa popularność pomogła ci zaistnieć jako wokalistce?
Myślę, że z jednej strony ważne było to, iż niektórzy kojarzyli mnie z moich ról, a z drugiej – że weszłam z czymś zupełnie nowym. Do tego niektórzy mogli myśleć, że moje śpiewanie to będzie piosenka aktorska, a okazało się, że to w swej istocie alternatywny materiał. Jakakolwiek nie byłaby to motywacja, cieszę się, że tak dużo osób za mną podążyło i weszło w ten mój nowy świat.

Wydanie twej debiutanckiej płyty „Parsley" w 2016 roku było dla ciebie tak potężnym emocjonalnie przeżyciem, że to dlatego machnęłaś wtedy ręką na aktorstwo?
Podjęłam decyzję o rezygnacji z aktorstwa wcześniej. Wyjechałam wtedy na sześć miesięcy do Azji i przemierzałam ją z plecakiem na motocyklu. To dodało mi na tyle odwagi, że po powrocie postanowiłam pokazać swoje piosenki światu i wydałam „Parsley". Nie spodziewałam się oczywiście, że spotka się ona z tak dobrym przyjęciem i będę mogła żyć z muzyki. Tymczasem tuż po jej wydaniu udało mi się zagrać całą trasę koncertową – i to z dwukrotnym wyprzedaniem warszawskiej „Stodoły" na czele. Nie miałam wtedy aktorskich obowiązków i mogłam w pełni zaangażować się w muzyczne działania.

Teraz wracasz do „Parsley" podczas jubileuszowej trasy po Polsce. Jak zabrzmi ta historia sprzed dekady, opowiedziana na nowo?
Równie słonecznie i uroczo, bo uważam, że utwory są nadal aktualne i ważne, dobrze się je śpiewa. Przez te dziesięć lat rozwinęłam się muzycznie, więc zabrzmią trochę inaczej i chcę to zaznaczyć podczas tej trasy. Może trochę glam popowo? Nadal będą miały jednak ten hawajski sznyt, ciepły i organiczny ton. Dodam im nieco energii, ale takie ballady, jak „We Care So Much", nadal będą w oryginalnej formie, tylko zostaną wyrażone przy użyciu innych środków. Duch będzie jednak ten sam. Jeśli ktoś będzie go chciał poczuć ponownie po tych dziesięciu latach, to jest ten odpowiedni moment, by się na tę trasę wybrać.

W jakim miejscu jesteś jako wokalistka po tych dziesięciu latach od debiutu?
Na pewno cały czas mam radość ze śpiewania, tworzenia muzyki, bycia na scenie i obcowania z ludźmi. To mi sprawia ogromną przyjemność. Czasem ktoś mnie pyta: „Jak ty tak możesz co weekend jeździć po Polsce? Dopiero byłaś we Wrocławiu, a już jedziesz do Gdańska. Jak możesz tak żyć". Wtedy odpowiadam: „To dla mnie wspaniałe. Ja po prostu to kocham". (śmiech) Nie dopadło mnie bowiem zgnuśnienie, a to przecież zawsze może się wydarzyć. A to dlatego, że chroniłam swój muzyczny świat, aby był jak najbardziej mój, zgodny z tym, co aktualnie czuję. To powoduje, że ciągle jestem autentyczną artystką. Wiadomo – trochę się zmieniłam, bo pracowałam ze świetnymi muzykami i producentami, spotkałam mnóstwo artystów i poobserwowałam, jak oni tworzą. Najważniejsze jednak, że nadal kocham muzykę i to się nie zmieniło. Mam nadzieję, że za następne dziesięć będę nadal w tym świecie działać po swojemu.

eprasa.pl 25b49663e2

FOT. CC

28 lutego 1986 r. Palme wyszedł z kina w centrum Sztokholmu i z żoną skierowali się w stronę domu. Ktoś podszedł do nich z tyłu i oddał dwa strzały

NAJGŁOŚNIEJSZE ZABÓJSTWO W DZIEJACH SZWECJI

Premier-socjaldemokrata został zastrzelony 28 lutego 1986 r. w centrum Sztokholmu, kiedy wracał z żoną z kina. Do dziś jego śmierć jest symbolem politycznego mordu

Mariusz Grabowski

Mimo intensywnego dochodzenia przez kilka dekad nie udało się wskazać zabójcy ani podać motywów tego morderstwa. Dopiero w 2020 r. szwedzcy śledczy zasugerowali, że znają tożsamość sprawcy.

Czar politykowania

Dla wielu Szwedów postać Olofa Palmego wciąż jest symbolem liberalno-lewicowej tożsamości. Od 1987 r. jest przyznawana nagroda jego imienia - „za walkę o pokój, działania przeciwko rasizmowi i ksenofobii". Także na całym świecie jest ponadto wiele miejsc nazwanych jego imieniem - np. w Polsce szkoła podstawowa w podwarszawskim Józefowie.

Palme (rocznik 1927) rozpoczynał karierę polityczną w radykalnych młodzieżówkach socjalistycznych, stopniowo wspinając się po szczeblach władzy. Miał do polityki i jej zakulisowych sekretów wyjątkowy talent. W latach 1954-1963 był sekretarzem ówczesnego premiera i przywódcy socjaldemokratów szwedzkich Tage Erlandera, a następnie jego najbliższym współpracownikiem.

Kariera Palmego nabrała tempa, kiedy w 1969 r. został przewodniczącym Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, promującej model tzw. państwa opiekuńczego, a w konsekwencji objął funkcję premiera, którą pełnił przez siedem lat. Po raz drugi był szefem rządu w latach 1982-1986.

Socjalizm tak!

Jako premier Palme wzbudzał skrajne emocje - Szwedzi albo go uwielbiali albo nienawidzili. Ale faktem jest, że na rządowych stanowiskach dał się poznać jako sprawny administrator i polityk, który potrafił umiejętnie reagować na kryzysy i przesilenia polityczne i nie unikał trudnych decyzji.

Sensem jego politykowania było zbudowanie takiego modelu państwa, które oparte byłoby na trzech niewzruszonych filarach socjalizmu: równości społecznej, wysokich podatkach progresywnych oraz silnych związkach zawodowych. „Urodziłem się w rodzinie zamożnej - mówił w wywiadach - lecz należę do ruchu robotniczego, przystąpiłem do niego, aby pracować dla klasy robotniczej na warunkach przez nią określonych i aby uczestniczyć w ruchu, który pragnie wolności, równości i braterstwa między ludźmi"

To m.in. dzięki jego polityce w 1983 r. Riksdag podjął decyzję o zwiększeniu wpływu związków zawodowych na prywatne przedsiębiorstwa, co doprowadziło do ostrego sporu z rodzimym biznesem.

Poza Szwecją

Trudności w polityce krajowej Olof Palme równoważył aktywnością na arenie międzynarodowej - głównie udzielał poparcia ruchom narodowym w krajach rozwijających się. On także, jako pierwszy, wystąpił przeciwko Stanom Zjednoczonym w kilka miesięcy po podjęciu prze Air Force bombardowań Wietnamu. Siłą rzeczy doprowadzało to do różnych konfliktów dyplomatycznych. Zwłaszcza, że Palme dla balansu potępiał też politykę tzw. państw socjalistycznych, w tym interwencję ZSRR i państw Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r. W latach 1985-1986 Palme był też skonfliktowany z wysokimi dowódcami wojskowymi, którzy zarzucali mu niezdecydowanie i słabą reakcję przeciw ZSRR w sprawie incydentów dotyczących radzieckich okrętów podwodnych. Doszło nawet do tego, że oficerowie publicznie deklarowali wobec premiera brak zaufania

W 1980 r. Palme został przewodniczącym Niezależnej Komisji ds. Rozbrojenia i Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Pełnił też funkcję mediatora ze strony ONZ w krwawym, tlącym się przez lata konflikcie iracko-irańskim.

Palme w Warszawie

Czy Olof Palme był tak kryształowo czysty jak chcieliby jego zwolennicy? Można mieć wątpliwości - wielokrotnie zarzucano mu np. matactwa podatkowe. Te najpoważniejsze dotyczyły wydarzeń z 1984 r., kiedy to wygłosił wykład na wydziale prawa Uniwersytetu Harvarda, za który odmówił przyjęcia honorarium. Rzekomo miał wtedy dać do zrozumienia władzom uczelni, że zamiast tego wolałby, aby jego syn Joakim otrzymał roczne stypendium na uniwersytecie (i które faktycznie mu przyznano jeszcze w tym samym roku).

Dekadę wcześniej głośno było o afera Lennarta Geijera, ministra sprawiedliwości w ówczesnym gabinecie Olofa Palmego. Zarzucono mu korzystanie z usług prostytutek zza żelaznej kurtyny, które mogły przekazywać informacje agentom KGB. Cień agenturalności padła również na Palmego, ale nigdy nie wypłynęły żadne przekonujące dowody na ten temat.

Gdy podczas wizyty w Polsce w 1974 r. uczynił gest polityczny i zwrócił - po ponad 300 latach tzw. rolkę sztokholmską, zrabowaną przez Szwedów podczas Potopu - jego krytycy w Szwecji zarzucili mu „nadmierną uległość wobec wschodnioeuropejskich komunistów".

„Nasz dobry Olof"

W Szwecji do dziś krążą legendy o „dobrym Olofie". Dzieci w szkołach uczy się, że szwedzki premier był bardzo ufny i wierzył, że ludzie są dobrzy, a świat - choć skomplikowany - można ułożyć sprawiedliwie dla wszystkich. Rozmaite złe moce i ciemne siły (konserwatyści, prawicowcy, fundamentaliści religijni, nacjonaliści itp.) powodują różne zamieszania, ale w gruncie rzeczy to dobra wola ludzi potrafi różne problemy rozwiązać.

Oto przykład takiej politycznej hagiografii: „Palmego pytano np. wielokrotnie dlaczego nie używa obstawy, a on wtedy odpowiadał ze śmiechem: »Na Boga dlaczego? Co mi może grozić w moim społeczeństwie, w moim kraju?«".

Zbudowano wokół tego całą legendę lewicowego świętego: że chodził wszędzie piechotą, że każdemu podawał rękę i służył radą, że nie używał służbowych limuzyn, korzystał z konta w szwedzkim banku i jak zwykły Szwed robił zakupy na najbliższym bazarku. A na niedzielny obiad wcinał köttbullar, czyli tradycyjne szwedzkie klopsiki.

Dwa strzały

28 lutego 1986 r. Palme wyszedł z kina w centrum Sztokholmu i z żoną skierowali się w stronę domu. Kilkaset metrów dalej ktoś podszedł do nich z tyłu i oddał dwa strzały. Pierwsza kula trafiła premiera w kark i przecięła tętnicę szyjną. Druga minęła Lisbeth Palme niemal o włos. Sprawca zdążył uciec, zanim ktokolwiek z tłumu zdążył się zorientować o co chodzi.

Śledztwo, nadzorowane przez szefa sztokholmskiej policji Hansa Holmera od początku szło opornie. Pierwszym podejrzanym był Victor Gunnarsson, który publicznie oskarżał Palmego o bycie agentem CIA i KGB. Potem zaczęto badać mieszkających w Szwecji Kurdów - rząd Palmego uznał Partię Pracujących Kurdystanu za organizację terrorystyczną, co miało posłużyć za motyw.

Z kolei Lisbeth Palme wskazała jako sprawcę Christera Petterssona, kryminalistę i narkomana. Został on nawet skazany przez sąd pierwszej instancji, ale podczas rozprawy apelacyjnej sąd wytknął prokuraturze liczne niedopatrzenia.

To Stig Engström

Dość wcześnie w śledztwie pojawiło się też nazwisko Stiga Engströma, grafika pracującego w zlokalizowanym blisko miejsca zabójstwa biurze przedsiębiorstwa Skandia. Portier w budynku widział go, jak kilka minut przed morderstwem wyszedł coś zjeść. Sam Engström zeznał, że miał na sobie długi ciemny płaszcz, kaszkiet, okulary i aktówkę w ręku, co pasowało do rysopisu.

Co ciekawe, wkrótce po morderstwie Engström pojawił się w mediach i coraz bardziej szczegółowo zaczął opisywać historię swojego udziału w zdarzeniu i krytykował policję. Ta uznała go wówczas za „niewiarygodnego i niekonsekwentnego" świadka, który co chwila zmienia swoją wersję wydarzeń.

W czerwcu 2020 r. prokurator Krister Petersson oświadczył jednak, że należy przyjąć wersję, iż Olofa Palmego zastrzelił właśnie Stig Engström. Problem w tym, że w 2000 r. Engström popełnił samobójstwo. Sprawę ostatecznie zamknięto, zaś prokurator przyznał, że „nie można dokładnie ustalić motywu zabójstwa".

Państwo zawiodło?

Śledztwo w sprawie mordu na Palmem stało się swoistym polityczno-kryminalnym ewenementem. Obliczono, że półki archiwum morderstwa szwedzkiego premiera osiągnęły z czasem łączną długość 225 metrów, a praca śledczych i ekspertów kosztowała szwedzkie państwo setki milionów koron. Dla dziennikarzy stała się ona symbolem „szwedzkiej nieporadności", choć przecież każde państwo ma w historii podobne niepowodzenia - w Stanach to np. zabójstwo Kennedy'ego, a w Polsce gen. Papały.

Chaos panujący wokół śmierci Palmego jest jednak zastanawiający. W sumie podejrzanych o jego zabójstwo było ponad 100 osób, a wokół nierozwiązanej sprawy kłębiły się najróżniejsze teorie spiskowe, od udziału w zbrodni CIA, separatystów z Partii Pracujących Kurdystanu po killerów południowoafrykańskich służb specjalnych. Dodajmy do tego masową inwigilacje osób o prawicowych sympatiach w szwedzkiej policji i wojsku, którym niejednokrotnie złamano kariery.

eprasa.pl 25b49663e2

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński

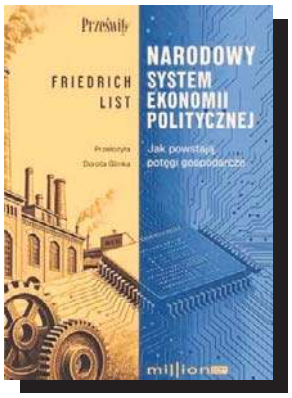

Gdy państwo nie jest tylko nocnym stróżem

W Atlancie funkcjonuje Azalea Fresh Market, duży sklep spożywczy w historycznym budynku Olympia. I nie byłoby w tym nic godnego wzmianki, gdyby nie szczegół związany z jego właścicielami. Otóż, ten sklep powstał przy wsparciu pieniędzy publicznych. Powtarzam to jeszcze raz: pieniędzy publicznych. Przypominam, że chodzi o kraj, w którym reguły wolnego rynku traktowane są niemal jak religijne dogmaty, gdzie do dziś za Ronaldem Reaganem powtarza się jak mantrę zdanie o tym, że rząd jest problemem nie rozwiązaniem. Mimo tych zaklęć nawet Amerykanie uznali, że bez ingerencji państwa w pewne procesy gospodarcze nie uda się rozwiązać narastających problemów - jak choćby możliwość zrobienia tanich codziennych zakupów w Atlancie.

Ten supermarket to przykład szerszego zjawiska pokazującego, że państwo odgrywa coraz bardziej istotną rolę w gospodarce. Już nie jest tylko „nocnym stróżem" pilnującym porządku na rynku. W wielu miejscach staje się aktywnym graczem, odciskającym swoje piętno na poszczególnych procesach. Oczywiście, to pokłosie sukcesu gospodarczego Chin. Pekin stał się drugą gospodarką globu w dużej mierze dlatego, że tamtejsze władze umiejętnie sterowały krajową ekonomią. Skoro za Wielkim Murem się udało, to inni próbują to naśladować. Stąd zwrot „gospodarka narodowa" jest coraz popularniejszy. Hasło „Made in Europe", powracające przy okazji dyskusji o programie SAFE, to tylko jeden z przykładów tej logiki myślenia.

Ciekawe światło na ten sposób myślenia rzuca książka Friedricha Lista opublikowana w 1830 r. Ważna o tyle, bo to pierwsza publikacja pokazująca, że gospodarka narodowa to kluczowe narzędzie w rękach poszczególnych państw, pomagające odnosić sukcesy ekonomiczne, ale też polityczne. Choć tej publikacji tylko do prostego wpływu państwa na gospodarkę sprowadzać nie można. List idzie dalej. W tej książce (przypomnę: rok 1830) pisze o rzeczach, które w Polsce dopiero się powoli przebijają do świadomości, a więc konieczność poprawy produktywności czy opłacalność wytwarzania bardziej złożonych produktów.

List wreszcie wskazuje na rzecz fundamentalną: że gospodarka nie funkcjonuje w oderwaniu od społeczeństwa. Jak ludzie są nastawieni do pracy, takie efekty państwo otrzymuje. Świetnie to się sprawdza we współczesnych Chinach. Najlepiej widać, kto szuka inspiracji w starych książkach.

Friedrich List „Narodowy system ekonomii politycznej. Jak powstają potęgi gospodarcze", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 79,90 zł

Jak Niemcy uciekają od skojarzeń z II wojną

Przekrojowa publikacja poświęcona polityce historycznej Niemiec. Teza? Że Niemcom przynosi ona efekty. Ocena świata odnośnie roli Niemiec w czasie II wojny najlepiej to potwierdza.
Anna Kwiatkowska „W służbie przyszłości", wyd. OSW, Warszawa 2026

Głęboki portret Morza Bałtyckiego

Jakiego typu morzem jest Bałtyk? Takie pytanie zadał sobie doświadczony marynarz - i w tej książce na nie odpowiedział. Głęboki portret morza i ludzi z nim związanych.
Tomasz Maracewicz „Bałtyk. Morze śródziemne północnej Europy", wyd. Jakobstaf!, Warszawa 2026, cena 135 zł

Reporterka w szpitalu psychiatrycznym

Szpital psychiatryczny w Kobierzynie powstał sto lat temu. Autorka przygotowała o nim reportaż. Pierwszy raz odwiedziła go 40 lat temu.
Krystyna Rożnowska „Można oszaleć. Opowieść o szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie", wyd. Mando, Kraków 2026, cena 59,90 zł

Prawda o życiu Sylvii Plath

Książka, pokazująca, jak łatwo przemieszać fakty. Mąż Sylvie Plath zawsze przedstawiał się jako kustosz pamięci o niej. Van Duyne opisuje, jak bezczelnie ją wykorzystywał i krzywdził.
Emily Van Duyne „Kochając Sylvię Plath", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł

Zwycięstwa jak niesprawny spadochron

Andrzej Kopacki te wiersze pisał przez ostatnie 25 lat. Dużo w nich o porażkach, mało o triumfach. Bo „wszak wiesz nie od dziś/że twoje wczorajsze zwycięstwa/są jak niesprawny spadochron".
Andrzej Kopacki „Świat a ludzie", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 65 zł

Okręty pływające do sowieckich obozów

Gułagi stały się miejscem kaźni dla milionów. Ale te obozy by nie istniały bez całego systemu logistyki wokół nich. O tym jest ta książka.
Martin J. Bollinger „Flota Gułagu. Stalinowskie statki śmierci: transporty na Kołymę", wyd. Replika, Poznań 2026, cena 54,90 zł

Czy każdą traumę można przepracować

Doświadczona terapeutka w tej książce wyjaśnia, w jaki sposób należy walczyć z ciężkimi traumami. Dużo przykładów, które zaczerpnęła z własnej praktyki.
Maria Dekert „Mrokiem mroku nie rozproszysz", wyd. Kontrapunkt, Poznań 2026, cena 59,90 zł

Jak rysowano granice na Bliskim Wschodzie

Zbeletryzowana biografia Gertrude Bell - podróżniczki, która w okresie I wojny światowej trafiła na Bliski Wschód i jako pierwsza wyznaczyła granice współczesnego Iraku,
Olivier Guez „Mezopotamia", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 59,90 zł

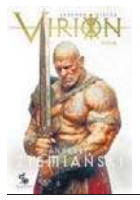

Virion, Achaja i poselstwo Zakonu

Zwieńczenie trzytomowego cyklu fantasy o Virionie, słynnym mistrzu fechtunku. Ziemiański domyka kolejny cykl swojego ogromnego książkowego uniwersum.
Andrzej Ziemiański „Virion (Legenda Miecza). Dom", wyd. Fabryka Słowa, Warszawa 2026, cena 64,90 zł

Zawodowe życie dziennikarza

Bohaterką thrillera jest dziennikarka, która liczy na zawodowy sukces życia: wywiad ze stroniącym od mediów miliarderem. Ale rzeczywistość szybko się komplikuje.
Ruth Ware „Kobieta z pokoju jedenastego", wyd. Czwarta Strona, Poznań 2026, cena 54,90 zł

Podpisując cyrograf z demonem

Moda na horrory trwa nieprzerwanie już kilka dekad, tę formułę niezmiennie odkrywają kolejne pokolenia fanów. I właśnie dla nich znany scenarzysta przygotował swojego „Demona".
Wojtek Miłoszewski „Demon", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 54,99 zł

Gdy Deadpool zaczyna czuć się jak Japończyk

Deadpool to ten superbohater, który w całym uniwersum ma największe poczucie humoru. Dlatego do tej komiksowej serii formuła manga pasuje jak rzadko.
Hikaru Uesugi, Sanshiro Kasama „Deadpool Samuraj", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 79,99 zł

O Polaku, który podbił Kanadę

Thomas Lukaszuk wyemigrował z Polski do Kanady, gdzie odniósł sukces w polityce. Teraz w wywiadzie opowiada o tym, w jaki sposób jako migrant zdołał zaistnieć w kraju klonowego liścia.
Agatha Rae, Thomas A. Lukaszuk „Pozdrów Reagana", wyd. Axis Mundi, Warszawa 2026, cena 44,90 zł

Jak odnaleźć się w onkologicznym świecie

Książeczka pozwalająca dzieciom oswoić się z najtrudniejszymi tematami. Jej bohaterką jest chora na raka dziewczynka. Kolejne dni spędza w szpitalu - ale nawet tam tworzy swój magiczny świat.
Mariangela Di Fiore „Na grzbiecie jednorożca", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,90 zł

Legenda zakonu Jedi

Komiks rozwijający poboczny wątek sagi Gwiezdnych Wojen. Jego głównym bohaterem jest jeden z wojowników Jedi Mace Windu (w filmie grał go Samuel L. Jackson). Jakim był on wojownikiem?
Matt Owens, Edgar Salazar „Star Wars. Mace Windu. Jedi Republiki", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 49,99 zł

Płockie tajemnice i historyczne tropy

Kryminał dla nastolatków, którego akcja rozgrywa się w historycznej części Płocka. Autor zręcznie prowadzi intrygę, wplatając w nią wątki odwołujące się do 1000-letniej historii Płocka.
Jacek Ostrowski „Tajemnice Tumskiej Góry", wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, cena 52,90 zł

eprasa.pl 25b49663e2

W Szczecinie o przyszłości energetyki wiatrowej

Jarosław Jaz
Szczecin

2 marca 2026 roku w Teatrze Polskim w Szczecinie odbędzie się II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski – Local First".

Polska Press Grupa, we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Zachodniopomorskiego, organizuje II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski – Local First". Celem wydarzenia jest włączenie polskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw w realizację wielomiliardowych inwestycji w farmy wiatrowe na lądzie i morzu.

– Polska transformacja energetyczna to nie tylko wielkie inwestycje, ale przede wszystkim realna szansa rozwojowa dla krajowych przedsiębiorstw. II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej tworzy przestrzeń, w której polskie firmy, zwłaszcza z sektora MŚP, mogą zdobyć wiedzę, nawiązać relacje i przygotować się do udziału w projektach, które w najbliższych latach będą kształtować gospodarkę i bezpieczeństwo energetyczne kraju. Naszym celem jest łączenie biznesu, administracji i inwestorów wokół idei „Local First" – mówi Zenon Nowak, prezes zarządu Polska Press Grupy.

FOT. 123RF

Koncepcja „Wind Factory of Europe" zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej

Silne zaplecze, lokalne kompetencje

Inicjatywa stanowi bezpośrednią kontynuację debaty zapoczątkowanej podczas I edycji Forum we wrześniu 2025 roku w Warszawie. Wówczas zdefiniowano pilną potrzebę stworzenia stałej platformy dialogu między administracją rządową, inwestorami a polskim biznesem. Tegoroczne spotkanie w Szczecinie koncentruje się na praktycznym wymiarze idei „Wind Factory of Europe". Koncepcja ta, zrodzona na Pomorzu Zachodnim, zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej w oparciu o lokalne kompetencje, technologie i zasoby. Jej celem jest rozwój odpornego i konkurencyjnego łańcucha dostaw, w którym polskie firmy odgrywają kluczową rolę zarówno w projektach onshore, jak i offshore. Włączenie MŚP w realizację projektów wiatrowych oznacza nie tylko nowe możliwości biznesowe i dywersyfikację działalności, lecz także wzmocnienie regionalnych gospodarek, zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego oraz realizację celów klimatycznych Unii Europejskiej.

– Pomorze Zachodnie, jeśli chodzi o rozwój energii wiatrowej, jest liderem w kraju. To nie przypadek, bo transformację energetyczną rozpoczęliśmy dwadzieścia pięć lat temu. Dlatego oczekujemy, że Szczecin i województwo zachodniopomorskie staną się filarem krajowego zintegrowanego modelu rozwoju przemysłu morskiej energetyki wiatrowej, w którym wszystkie kluczowe ogniwa, od przygotowania i budowy, przez eksploatację, aż po serwis i recykling, będą miały tu swoje zakorzenienie – podkreśla Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego

Rząd, eksperci, przedsiębiorcy

Wydarzenie będzie poświęcone roli polskich przedsiębiorstw, w szczególności małych i średnich firm, w realizacji wielkoskalowych projektów energetycznych. Bogaty program II edycji Forum pozwoli wyposażyć przedsiębiorców w kompleksową wiedzę niezbędną do wejścia na rynek OZE. Przedstawiciele Ministerstwa Aktywów Państwowych, prezes zarządu Orlen SA Ireneusz Fąfara, a także przedstawiciele Enea SA, PGE Baltica, ARP SA oraz szczecińskiej stoczni Wulkan będą dyskutować o „Local content jako narzędziu rozwoju polskiego przemysłu". W dyskusji o „Samorządach jako filarze local first" udział wezmą marszałkowie województw zachodniopomorskiego, lubuskiego i wielkopolskiego. Panele dotyczyć będą również finansowania i zabezpieczenia inwestycji. Udział wezmą w nim przedstawiciele banków PKO BP oraz BGK i państwowego ubezpieczyciela PZU SA, a także „Onshore i offshore – skala inwestycji i potencjał polskich firm" z przedstawicielami polskich spółek energetycznych.

Eksperci i praktycy branżowi szczegółowo omówią znaczenie strategii „Local First", wskazując konkretne korzyści z niej płynące. Uczestnicy wydarzenia zapoznają się z aktualną mapą planowanych inwestycji w energetyce wiatrowej oraz poznają potencjał kontraktowy, jaki te projekty generują dla małych i średnich przedsiębiorstw.

Narzędzia dla polskich firm

Kluczową częścią merytoryczną wydarzenia będzie analiza wymagań technicznych i formalnych. Prelegenci wyjaśnią zawiłości procedur certyfikacyjnych oraz standardy zakupowe obowiązujące w projektach dużej skali, co pozwoli firmom lepiej przygotować się do postępowań przetargowych. Uzupełnieniem tej wiedzy będzie przegląd dostępnych mechanizmów finansowania transformacji i rozwoju przedsiębiorstw.

Wydarzenie wpisuje się w szerszy kontekst działań rządowych na rzecz zwiększenia udziału tzw. local content w strategicznych inwestycjach. Jak podkreślano podczas poprzedniej edycji, w najbliższej dekadzie sektor ten zaabsorbuje biliony złotych. II Forum w Szczecinie ma za zadanie dostarczyć polskim firmom narzędzi, dzięki którym kapitał ten pozostanie w krajowym obiegu gospodarczym.

Partnerami medialnymi II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski – Local First" są: StrefaBiznesu.pl, Naszemiasto.pl, Głos Szczeciński i GS24.pl.

AUTOREKLAMA 0011485041

Zaprzęg św. Mikołaja znów spełnił dziecięce marzenia!

Podopieczni Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom spędzili niesamowity czas w górach!

Sanie świętego Mikołaja już od dawna schowane. Jednak przyszedł czas na podsumowanie naszej corocznej akcji, w ramach której pomagamy tym, którzy najbardziej tego potrzebują. Przypomnijmy, że nasze wsparcie trafiło do Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom w Wyszkowie.

FOT. MATERIAŁY STOWARZYSZENIA POMOCY RODZINOM W WYSZKOWIE.

Nowych wyzwań smak

„Nie ma jak nowych wyzwań smak", słowami jednej z piosenek braci Golców można by podsumować wspaniały i intensywny czas zimowego obozu, jaki zorganizowało dla swoich podopiecznych Stowarzyszenie Pomocy Rodzinom. Obóz odbył się w dniach 26 grudnia 2025 r. – 2 stycznia 2026 r. w Gliczarowie Górnym. Wzięło w nim udział ponad 60 młodych osób z Polski i Ukrainy.
Uczestnicy mogli cieszyć się urokami prawdziwej zimy! W czasie szusowania na stokach Kotelnicy Białczańskiej, mróz malował policzki i nosy. Nie obyło się też bez tańców i to nie byle jakich, bo w butach narciarskich! Uczestnicy warsztatów tanecznych odtańczyli różne choreografie podrygując do przebojów muzyki pop.

3500 zł
tyle udało się zebrać na wsparcie Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom w Wyszkowie.

Oprócz sportowych i tanecznych aktywności, można było wziąć udział w zajęciach tworzenia komiksu na podstawie życiorysu Mikołaja Kopernika. A także odkryć w sobie talent malarski podczas zajęć z pisania ikon.
Nie zabrakło również warsztatów kulinarnych, które upłynęły pod znakiem smaków słonecznej Italii.

Dziękujemy, że przyłączyliście się do naszej akcji!

Przypomnijmy, że Zaprzęg św. Mikołaja niewiele by zdziałał, gdyby nie przyczepione do niego sanki. Te sanki, to cegiełki przekazywane przez firmy oraz Partnerów, którzy zdecydowali się włączyć do naszej akcji. Dzięki Wam udało się zebrać 3500 zł na wsparcie Stowarzyszenia Pomocy Rodzinom w Wyszkowie. Dziękujemy, że byliście z nami!

Ogólnopolskim Partnerem Strategicznym akcji była MLEKOVITA

Polska MLEKOVITA, firma o ponad 95-letniej tradycji i ugruntowanej marce nie tylko na rynku polskim, ale również zagranicznym, jest największą grupą mleczarską w Europie Środkowo-Wschodniej. To przedsiębiorstwo ze 100-procentowym kapitałem polskim i niekwestionowany lider branży w kraju oraz lider eksportu sektora mleczarskiego.

Partnerem Ogólnopolskim była MUSZYNIANKA

Muszynianka sp. z o.o. - polska firma z wieloletnią historią i tradycją. Producent naturalnej wody mineralnej „Muszynianka", od lat realizująca strategię społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR). Firma aktywnie wspiera lokalne społeczności poprzez projekty edukacyjne, kulturalne, a także sportowe. Ponadto angażuje się w ochronę środowiska, podejmując działania mające na celu zrównoważony rozwój i redukcje wpływu na ekosystem.

eprasa.pl 25b49663e2

Od „dzień dobry” do dobrego życia. Historie par z RAZEM NAJLEPIEJ

Za nami dwa tygodnie głosowania w plebiscycie Razem Najlepiej 2026 - akcji dla szczęśliwych par. W tym wydaniu gazety poznajcie bliżej pary, które już cieszą się sympatią głosujących.

Miłość rzadko zaczyna się od wielkich słów i spektakularnych spotkań. Częściej od „dzień dobry”, przypadkowej rozmowy, kawy. Bo tak to najczęściej się właśnie zaczyna. To z tych drobnych momentów powstaje potem wspólne życie, wspólne decyzje, rozmowy albo wspólne milczenie. Dom. Dzieci. Pies, kot, stół. Albumy wypełnione zdjęciami ze szczęśliwych dni. Ale to też zapisane w pamięci historie dni trudnych - wypełnionych bólem, chorobą, troską, żalem, strachem o drugą osobę... Bo i tak wygląda miłość w prawdziwym życiu.

Plebiscyt „Razem Najlepiej” nie jest opowieścią o idealnych parach. Jest o ludziach. O tych, którzy wybrali siebie - niedawno albo wiele lat temu. O tych, którzy śmieją się razem, spierają, wspierają, planują i czasem po prostu siedzą obok siebie, oglądając serial.

W codziennym pośpiechu zwykłych dni - w trybie logistyki domowego życia „kup chleb, odbierz dziecko ze szkoły, wyprowadź psa” - zdecydowanie zbyt rzadko zatrzymujemy się, aby powiedzieć drugiej połówce słowami lub gestami: „Jak dobrze, że jesteś”. Tymczasem to właśnie te zwykłe chwile budują relację najmocniej. Wspólna kawa o poranku. Telefon w środku dnia z pytaniem, czy wszystko w porządku. Spacer z psem. Czasem wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, że tworzycie wspaniały duet.

Razem Najlepiej to akcja dla par, które chcą pokazać swoją miłość światu. Czasem dlatego, że ich wspólne życie dopiero się zaczyna, a kiedy w sercu pojawiają się motylki, chce się krzyczeć o tym na cały świat. Czasem po to, by pokazać się po latach i wtedy zdjęcie pary oraz jej historia stają się nie tylko obrazem, ale zapisem etapu długich dni razem. Dni zarówno na pogodę, jak i na niepogodę. Na dobre i na złe. Razem.

Też jesteście na początku tej drogi? A może już maszerujecie ramię w ramię? To jeszcze ciągle możecie zgłosić się do plebiscytu Razem Najlepiej 2026. Przypominamy, na zgłoszenia czekamy do 24 lutego.

Głosowanie już trwa, w tym wydaniu gazety przedstawiamy bliżej pary, które już cieszą się sympatią głosujących.

- Każda para ma swoją historię. Czytamy je wszystkie. Jedna miłość zaczęła się w szkolnej ławce, inna w pracy. Jeszcze inna przez zupełny przypadek, ale w życiu nie ma przypadków, więc byli sobie pisani. Jedne pary są razem od kilku miesięcy, inni od kilkudziesięciu lat, dosłownie - opowiada Katarzyna Borek, która opiekuje się bohaterami akcji od strony redakcyjnej. Jak dodaje: - To są opowieści od „dzień dobry” do dobrego życia razem. Czasami razem mimo burz, bo ani nie ma jednego wzoru na miłość, ani jednego przepisu na związek.

Jest za to wspólne „my”, które dla uczestników naszej akcji znaczy więcej niż wszystko inne.

Więcej o akcji na www.polskanews.pl/razem-najlepiej

KLAUDIA GŁOWA I KAMIL KOWALCZYK

- Najlepiej jest wtedy, kiedy nic szczególnego się nie dzieje, po prostu jesteśmy obok i nagle zwykła chwila robi się nasza. A już szczególnie w jego naturalnym środowisku, czyli garażu. On - poważny mechanik w trybie skupienia, a ja samozwańczy inspektor techniczny, który wie wszystko najlepiej. Podaję śrubki (zawsze nie te, co trzeba) i prowadzę przesłuchanie: „a po co?”, „a czemu tak?”, „a co się stanie, jak odpadnie?”. Naprawa trwa dwa razy dłużej, ale za to ma pełną dokumentację pytań i kontrolę jakości na najwyższym poziomie - mówi z uśmiechem pani Klaudia. Poznali się 5 lat temu, zaczęło się od wymiany wiadomości, które z perspektywy czasu wydają się śmieszne, a czasami wywołują u Nich pytania: „Czy naprawdę te zdania wyszły z naszych palców?!”.

- Kulminacja dramatyzmu nastąpiła przy jego samochodzie. Ja wsiadam, serce bije jak w thrillerze, a on poważnym tonem pyta: „Nie boisz się wsiadać? Przecież mogę cię porwać”. W tym momencie ja w duchu: „Spokojnie, jeśli ten porywacz robi wywiad jak on, to nigdy mnie nie złapie – za dużo gada, za mało porywa!” - przywołuje pani Klaudia. I tak oto Ich pierwsze spotkanie było jak połączenie horroru, sitcomu i reality show o upale, nieśmiałości i porywaczach, którzy zamiast porywać... po prostu gadają.

Swoją relację opisaliby jako prostą i prawdziwą - bez udawania i bez presji. Najbardziej cenią to, że mogą po prostu być przy sobie sobą: pomilczeć, pośmiać się z głupot albo przegadać pół dnia o niczym, a co najlepsze... dalej Im mało. - To taki typ związku, w którym nie trzeba niczego udowadniać, wystarczy być obok, a reszta jakoś sama działa - podkreśla para.

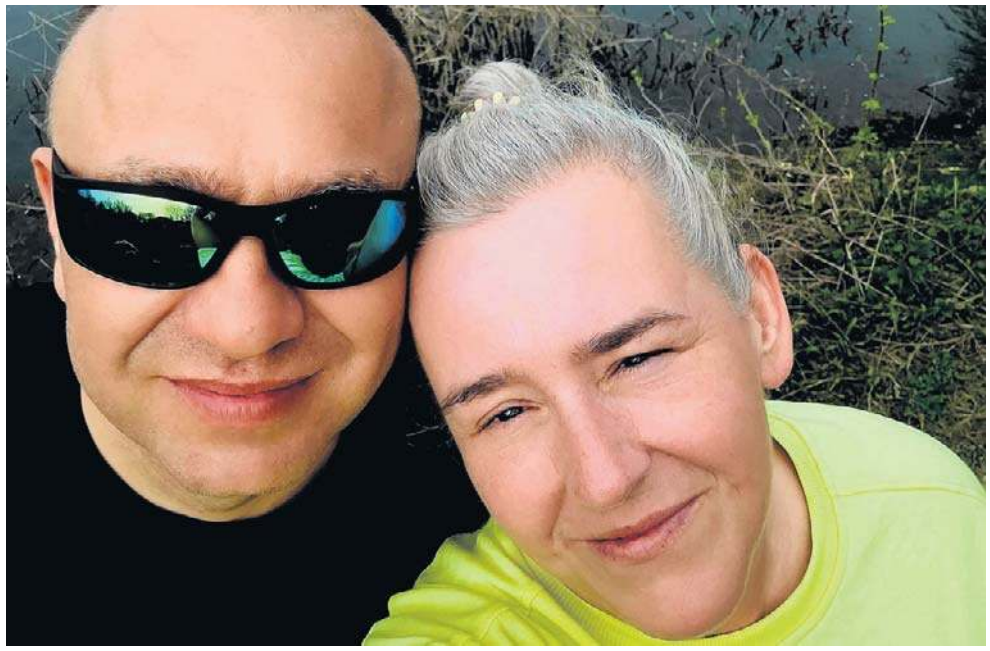

BEATA I ROBERT BOGUSZ

Beata i Robert Bogusz znali się już jakiś czas, ale tylko z widzenia. Tak się złożyło, że pani Beata zmieniła mieszanie i Jej sąsiadem został pan Robert. - Ja mojemu mężowi podobałam się od dawna, ale u mnie to dojrzewało. Po prostu był zawsze gdy go potrzebowałam - wspomina.

Według pary za byciem razem nie kryje się żądna większa filozofia ani wiedza tajemna.

- Na co dzień towarzyszy nam ukochana sunia Lexi, owczarek niemiecki. Jeździ z nami wszędzie, gdzie się da. Bardzo związani jesteśmy z dziećmi oraz z wnukami. Wciąż uważam, że spędzamy z nimi zbyt mało czasu, ale dzieli nas dużo kilometrów. Myślę sobie, że sprawdziliśmy się w różnych sytuacjach, oprócz tych najszczęśliwszych były te bardzo trudne jak choroba. To są chwile, kiedy najlepiej można się poznać. I to u nas się udało - zaznacza Beata Bogusz.

Małżeństwo zawsze czuje się w swoim towarzystwie doskonale. Uwielbiają spędzać ze sobą czas, a najbardziej cieszą się na wspólne wycieczki rowerowe. Lubią zwiedzać i poznawać historię polskich zamków, ruin i w ogóle wszystkich pięknych miejsc. Trudno Im wybrać jedno spotkanie, jeden gest, który szczególnie zapadł w pamięć, ponieważ przed nawet najdrobniejszą wycieczką wciąż mają motyle w brzuchu. - Jesteśmy ze sobą ponad dwadzieścia lat, a wciąż łakniemy swojego towarzystwa. W chwili gdy się poznaliśmy, każde z nas miało za sobą jakieś „życie”, nieudane związki i złe doświadczenia a mimo to zaufaliśmy sobie bezgranicznie i to się sprawdza. Kochamy życie, wspólne życie - zdradzają uczestnicy akcji Razem Najlepiej.

eprasa.pl 25b49663e2

ROCZNICA CZTERY LATA TEMU ROSJA ZAATAKOWAŁA UKRAINĘ. Z TEJ OKAZJI WŁADZE MAZOWSZA WSPARŁY KIJÓW

Mazowsze pomoże Ukrainie. Miliony złotych trafią do dwóch obwodów

Mateusz Bagieński
Warszawa

Mazowsze przekaże 3 mln zł na wsparcie humanitarne dla Ukrainy. Decyzja zapadła podczas wtorkowej sesji sejmiku województwa, który obradował w Ciechanowie.

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Decyzję o pomocy dla dwóch ukraińskich obwodów podjęto podczas XXI sesji mazowieckiego sejmiku, który obradował w nowej siedzibie w Ciechanowie

Środki trafią do dwóch ukraińskich obwodów i mają pomóc w reagowaniu na skutki rosyjskich ataków na infrastrukturę krytyczną, w tym energetyczną.

Radni województwa mazowieckiego zdecydowali we wtorek o przeznaczeniu 3 mln zł na wsparcie humanitarne dla mieszkańców obwodów kijowskiego i winnickiego na Ukrainie. Środki te mają pomóc w reagowaniu na skutki ataków Rosji na ukraińską infrastrukturę krytyczną, w tym energetyczną. Pomoc obejmie m.in. zapasowe źródła energii, generatory ciepła, magazyny energii.

Decyzję o pomocy dla dwóch ukraińskich obwodów podjęto podczas XXI sesji mazowieckiego sejmiku, który obradował we wtorek w nowej siedzibie delegatury samorządu województwa w Ciechanowie.

Warszawa i Kijów

- Obwód kijowski otrzyma około 1 mln zł, a obwód winnicki 2 mln zł - zaznaczył w komunikacie mazowiecki samorząd.

W tym komunikacie podkreślono zarazem, że wsparcie to ma pomóc w reagowaniu na skutki ataków Rosji na ukraińską infrastrukturę krytyczną, w tym energetyczną. Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego przypomniał, że rosyjskie ataki na Ukrainę powodują tam długotrwałe przerwy w dostawach prądu i ogrzewania, a także w łączności.

W czwartą rocznicę wybuchu pełnoskalowej wojny w wyniku agresji Rosji na Ukrainę na Placu Zamkowym w Warszawie odbył się poruszający koncert. W wydarzeniu zatytułowanym „Zwyciężymy zjednoczeni" wzięli udział bohaterowie, reporterzy wojenni, wolontariusze, artyści i politycy.

- 24 lutego 2022 roku Rosja napadła na Ukrainę. W jednej chwili miliony ludzi zostały zmuszone do ucieczki przed wojną. Matki z dziećmi, osoby starsze, całe rodziny. Często tylko z jedną torbą, plecakiem i ogromnym strachem. Setki tysięcy z nich trafiło do Warszawy.

Ale od pierwszych godzin tej tragedii ukraińscy migranci nie byli sami. Od pierwszego dnia z pomocą ruszyli Warszawiacy i Warszawianki. Pokazali, jak wielką siłę ma wspólnota. Dziękuję wszystkim zaangażowanym, wtedy i dziś, w niesienie tej pomocy - powiedział prezydent Rafał Trzaskowski.

Zwyciężymy zjednoczeni

W czwartą rocznicę wybuchu pełnoskalowej wojny w wyniku agresji Rosji na Ukrainę na Placu Zamkowym w Warszawie trwa odbył się poruszający koncert. W wydarzeniu zatytułowanym „Zwyciężymy zjednoczeni" wzięli udział bohaterowie, reporterzy wojenni, wolontariusze, artyści i politycy.

Koncert prowadziła działaczka społeczna Natalia Panczenko z inicjatywy Euromaidan-Warszawa oraz dyr. Teatr im. J. Słowackiego, aktor i aktywista - Krzysztof Głuchowski. Zaproszenie do udziału w koncercie przyjął Wład Zadorin, ukraiński żołnierz, obrońca Wyspy Wężowej. W części artystycznej wystąpili: ukraińska aktorka Rymma Ziubina, zespół Poparzeni Kawą Trzy oraz Antytila - ukraiński zespół rockowy, który po 24 lutego 2022 roku zawiesił działalność koncertową, a jego członkowie wstąpili do obrony terytorialnej Ukrainy. W pierwszych miesiącach pełnoskalowej inwazji służyli na froncie jako żołnierze i medycy pola walki,

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie, tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

TELEMAGAZYN
Twój wybór programów
telemagazyn.pl

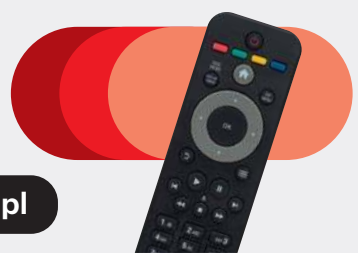

REKLAMA 0011482818

STAROSTA WĄGROWIECKI
GN.6821.15.2025.GN1

Wągrowiec, 18 lutego 2026 r.

OGŁOSZENIE

Na podstawie art. 113 ust. 5-7 oraz art. 114 ust. 3 i 4 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (j.t. Dz.U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

Starosta Wągrowiecki zawiadamia

o zamiarze wszczęcia postępowania wywłaszczeniowego w celu pozbawienia prawa własności udziału wynoszącego 15/32 w nieruchomości położonej w Wągrowcu, gmina Wągrowiec, oznaczonej ewidencyjnie obręb Wągrowiec miasto, arkusz mapy 14, działka nr **1255** o powierzchni 0,0484 ha, zapisanej w księdze wieczystej PO1B/00072268/1, której stan prawny jest nieuregulowany.

Jeśli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia, nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanej nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie administracyjne w trybie art. 115 ustawy o gospodarce nieruchomościami, z pominięciem ww. osób, jako stron postępowania.

TOMASZ KRANC
STAROSTA WĄGROWIECKI

eprasa.pl 25b49663e2

Goście z Polski i z całego świata zjeżdżają do Grodu Kopernika

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

LEKKOATLETYKA. **Przed nami jubileuszowa, 70. edycja lekkoatletycznych halowych mistrzostw Polski. Podobnie jak przez ostatnią dekadę gospodarzem imprezy będzie „Arena Toruń".**

Impreza potrwa od najbliższej soboty do niedzieli i dla wielu będzie ostatnim sprawdzianem przed najważniejszym startem sezonu halowego - mistrzostwami świata, które w dniach 20-22 marca br. zagoszczą do... Torunia.

W kilku przypadkach zaskakuje absencja zawodników. Na starcie zabraknie m.in. sprintera Marka Zakrzewskiego, 400-metrowców Karola Zalewskiego i Igora Bogaczyńskiego, milera Filipa Raka czy kulomiota Michała Haratyka.

Szczególną uwagę skupia natomiast jedna zawodniczka, którą zaledwie kilka dni wcześniej widzieliśmy w zupełnie innej roli... O kim mowa?

FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

W tym sezonie Jakub Szymański jest wciąż niepokonany. – Plan jest taki, aby powiedzieć to samo po HMŚ – mówi

Szybka zmiana

Po starcie na torze „Cortina Sliding Centre" w Cortinie d'Ampezzo Klaudia Adamek została pierwszym polskim sportowcem, który uczestniczył zarówno w letnich, jak i w zimowych igrzyskach olimpijskich.

Ostatecznie nasza osada bobslejowa pilotowana przez Lindę Weiszewski (przed laty również sprinterka) i rozpychającą (hamulcową) Adamek została sklasyfikowana na 18. miejscu w gronie 20 startujących...

Minęło kilka dni i Klaudię zobaczymy na... lekkoatletycznych halowych mistrzostwach Polski. Bobsleistka WKS Flota Gdynia, a sprinterka... MKL Szczecin, jest zgłoszona w Toruniu w dwóch konkurencjach: w biegach na 60 i 200 metrów!

Przed laty Adamek była czołową sprinterką kraju - wygrywała mistrzostwa Polski juniorów (2017 r.) i młodzieżowców (2020 r.) na 100 metrów.

Na Igrzyskach XXXII Olimpiady w Tokio Klaudia wystartowała - na drugiej zmianie - w sztafecie 4 x 100 metrów. Niestety, nasze dziewczyny (Marika Popowicz-Drapała, Paulina Paluch i Pia Skrzyszowska) odpadły już w eliminacjach, zajmując 4. miejsce w swojej serii (43,09 s). Udział w imprezie zakończyły na 10. miejscu.

W Toruniu Adamek zmierzy się na 60 metrów m.in. z wracającą do wysokiej formy Ewą Swobodą (w minioną niedzielę, na mityngu „ORLEN Copernicus Cup", uzyskała czas 7,09 s).

Kto na HMŚ?

W Toruniu zobaczymy w sumie ponad 500 sportowców. Największym wzięciem cieszą się tradycyjnie sprinty, chociaż frekwencja na 200 metrów może nieco dziwić: do rywalizacji pań na tym dystansie zgłosiło się aż 32 niewiast (więcej niż do „sześćdziesiątki"), a do zmagań na 60 metrów mężczyzn gotowych jest 31 dżentelmenów.

Kto już dzisiaj może liczyć na udział w HMŚ? Oto szczegóły (Q oznacza kwalifikację pewną na podstawie minimum, q oznacza kwalifikację z tabel zmieniających się z każdym dniem).

Kobiety

60 m (na HMŚ mogą wystąpić tylko dwie Polki): Ewa Swoboda Q, Pia Skrzyszowska Q (zawodniczka deklaruje jednak start tylko na płotkach), Jagoda Mierzyńska Q, Magdalena Stefanowicz q, Magdalena Niemczyk q (z powodu problemów zdrowotnych zakończyła już sezon halowy);

400 m: Natalia Bukowiecka Q;

800 m: Anna Wielgosz Q, Klaudia Kazimierska Q (wydaje się, że na HMŚ wystartuje jednak na 1500 metrów);

1500 m: Klaudia Kazimierska Q;

60 m ppł. (na HMŚ mogą wystąpić tylko dwie Polki): Pia Skrzyszowska Q, Alicja Sielska q, Klaudia Wojtunik q, Kaja Wesołowska q;

wzwyż: Maria Żodzik Q;

w dal: Anna Matuszewicz Q;

pięciobój: Adrianna Sułek-Schubert q, Paulina Ligarska q.

Mężczyźni

60 m: Oliwer Wdowik Q, Dominik Kopeć Q;

800 m: Maciej Wyderka Q, Filip Ostrowski Q;

1500 m: Kamil Herzyk q;

60 m ppł.: Jakub Szymański Q, Damian Czykier Q;

wzwyż: Mateusz Kołodziejski Q;

kula: Konrad Bukowiecki q.

Decyzja o wysłaniu sztafet (4 x 400 pań i panów + mikst) należy do PZLA.

Co ciekawe, polskie kryteria kwalifikacji na zawody tej rangi są wyższe niż... międzynarodowe.

Do 9 marca World Athletics opublikuje listę zakwalifikowanych zawodników oraz listę rezerwową.

©℗

Koniec zimowego szaleństwa. Transferowy Deadline Day już za nami

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Miniona środa była ostatnim dniem zimowego okienka transferowego w Polsce. Na finiszu aktywne były głównie cztery kluby PKO PKO Ekstraklasy.**

Nowy, wewnętrzny rekord ligi ustanowił Widzew Łódź, który tym sposobem jednocześnie podreperował budżet Legii Warszawa, czego zresztą nie ukrywają w stolicy.

Tej zimy Widzew wydał blisko 70 mln złotych na wzmocnienia, czyli tyle ile żaden inny polski klub nigdy wcześniej. Podczas jednego okienka ustanowił aż trzy rekordy. Dokonał najdroższego transferu w historii ekstraklasy (5,5 mln euro za Osmana Bukariego), sprowadził najdroższego Polaka (ponad 3 mln euro za Przemysława Wiśniewskiego) i jeszcze podczas ostatniego dnia wyśrubował wewnętrzny rekord ligi, a co najmniej 2 mln euro ściągając bowiem legionistę Steve'a Kapuadiego.

Z powodu kupna reprezentanta Demokratycznej Republiki Konga Widzew musiał opuścić grecki obrońca Polydefkis Volanakis, z którym właśnie rozwiązano umowę.

Ciekawie działo się również w Pogoni Szczecin. Za 500 tys. euro dołączył do niej prawoskrzydłowy Mads Agger, rodak duńskiego trenera Thomasa Thomasberga. Ponadto z akademii włoskiego Torino został ściągnięty nastoletni Igor Brzyski.

Dwa transfery rzutem na taśmę przeprowadziła jeszcze Wisła Płock, ściągając do ataku Bośniaka Saida Hamulicia i do pomocy mającego przeszłość m.in. w Lidze Mistrzów Greka Kyriakosa Savvidisa. Z kolei Górnik Zabrze wypożyczył ze Slavii Praga Czecha Ondreja Zmrzly'ego występującego na lewym boku obrony. Czy to koniec transferów? Do polskich klubów tak. Z polskich - niekoniecznie. Wciąż otwarte jest bowiem okienko m.in. w USA, dokąd w poprzednich latach odchodziło wielu uznanych ligowców.

©℗

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Steve Kapuadi przeszedł z Legii Warszawa do łódzkiego Widzewa na zasadzie transferu definitywnego

Kto z kim zagra w Lidze Mistrzów? Zostało nam tylko trzech Polaków

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Robert Lewandowski i Wojciech Szczęsny z FC Barcelony oraz Nicola Zalewski z Atalanty Bergamo - tylko tych trzech Polaków pozostało już w grze o elitarną Ligę Mistrzów.**

Wkrótce po godz. 12 w szwajcarskim Nyonie nad Jeziorem Genewskim ich drużyny poznają rywali w 1/8 finału, a także w potencjalnym ćwierćfinale i półfinale, bo UEFA zaplanowała rozlosowanie drabinki do końca edycji.

Finisz pierwszej fazy pucharowej był iście piorunujący. W środowy wieczór Juventus Turyn - mimo czerwonej kartki pokazanej w 48. minucie Lloydowi Kelly'emu - odrobił trzy bramki w meczu z Galatasaray, ale umęczony poległ z nim w dogrywce, tracąc dwie.

Losy dwumeczu odwróciła za to rewelacyjna Atalanta Bergamo, rozbijając w rewanżu Borussię Dortmund 4:1, w czym udział miał wspomniany Zalewski, chwalony przez włoskie media za akcje lewą stroną. Niespodziewane męczarnie spotkały za to Paris Saint-Germain. Ubiegłoroczny triumfator tylko zremisował z AS Monaco. Planowo i bez zbędnych nerwów, mimo nieobecności Kyliana Mbappe, wygrał za to Real Madryt - z Benfiką Lizbona prowadzoną przez Jose Mourinho.

Dzień wcześniej sensacyjnie odpadł finalista poprzedniej edycji Inter Mediolan z Piotrem Zielińskim w składzie, przegrywając także u siebie z rewelacyjnym norweskim Bodø/Glimt. Z niechlubnym rekordem udział w Lidze Mistrzów zakończył z kolei Mateusz Kochalski. Polski bramkarz z azerskiego Karabachu Agdam jako pierwszy w historii wpuścił 30 bramek. W samym pożegnalnym dwumeczu z Newcastle aż 9 razy musiał sięgać po piłkę do siatki.

W południe poznamy pary kolejnej rundy, która zostanie rozegrana w marcu krótko przed barażami Polski o MŚ 2026. Na pewno dojdzie do kilku hitów. Barcelona może trafić w losowaniu na PSG lub Newcastle United. Real czeka dwumecz ze Sportingiem Lizbona bądź Manchesterem City, którego potencjalnym rywalem jest też Bodø/Glimt.

Atalantę los skrzyżuje z Bayernem Monachium lub Arsenalem. Co z Liverpoolem? Albo zagra z pogromcą Juventusu (Galatasaray Stambuł), albo ponownie spotka się z Atletico Madryt.

W grze o najbardziej prestiżowe trofeum w piłce klubowej pozostały drużyny z ośmiu krajów. Najwięcej, czyli sześć, posiada Anglia. Trzy ma Hiszpania, dwa Niemcy, po jednej Francja, Norwegia, Portugalia, Włochy oraz Turcja.

Tegoroczny finał zaplanowano na 30 maja na stadionie „Puskas Arena" w węgierskim Budapeszcie. ©℗

Terminarz Ligi Mistrzów do końca edycji

- 1/8 finału: 10-11 marca i 17-18 marca;
- 1/4 finału: 7-8 kwietnia i 14-15 kwietnia;
- 1/2 finału: 28-29 kwietnia i 5-6 maja;
- finał - 30 maja.

eprasa.pl 25b49663e2

Polska
Piątek–niedziela, 27.02–1.03.2026

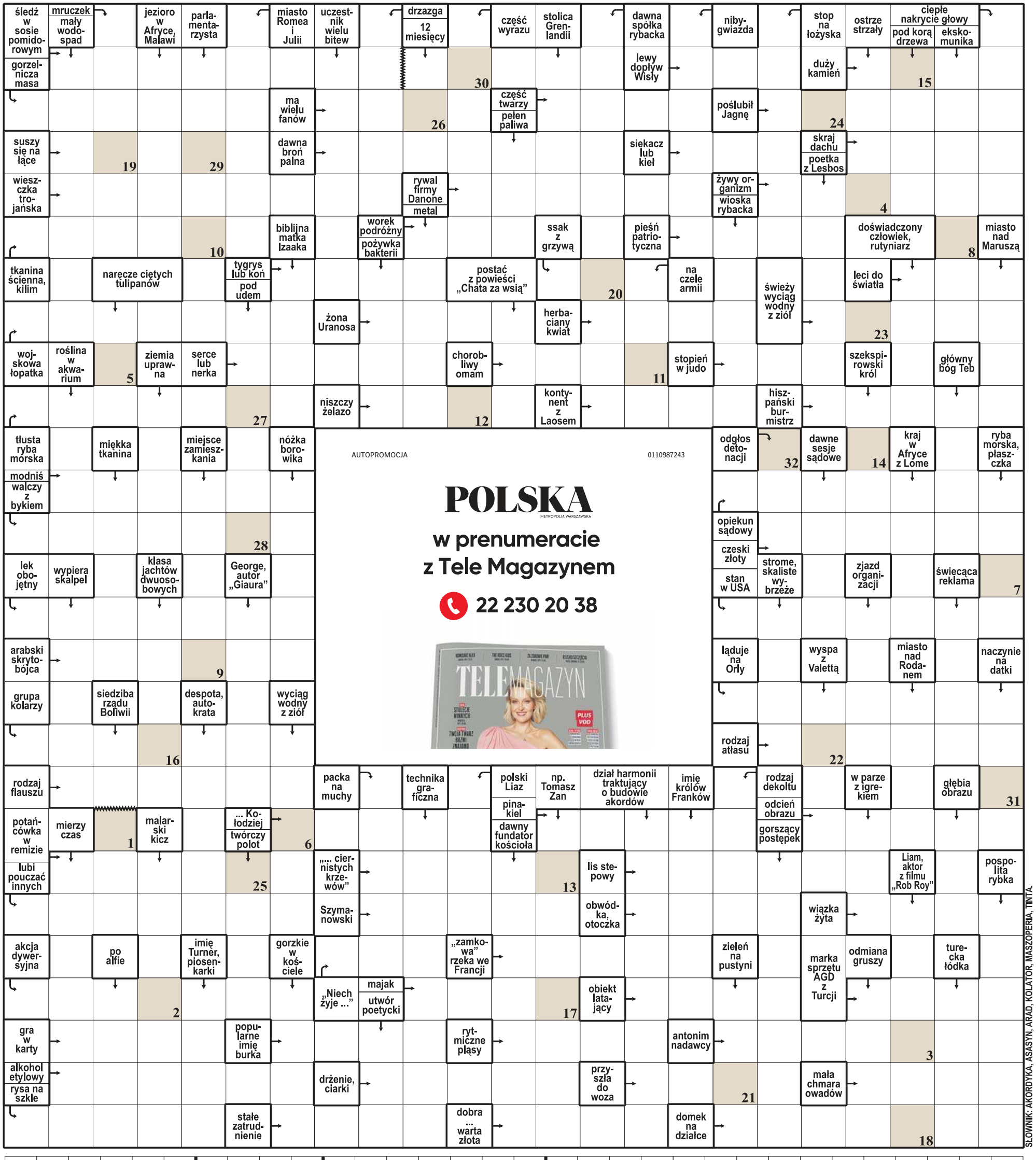

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32 utworzą rozwiązanie – myśl Jeana Paula Sartre'a.

ROZWIĄZANIE: POSTĘP JEST DZIEŁEM NIEZADOWOLONYCH.

eprasa.pl 25b49663e2